

Rozdział XIX

- Teraz już nic nie rozumiem - mówił profesor Piętka. - Kozieniecki przyszedł do mnie dziś po południu specjalnie po to, ażeby mi powiedzieć, iż cała historia o panu i pani Brzozowskiej jest zmyśloną. Prosił mnie o wszystko, żeby kłamstwa nikomu nie powtarzać. Co to może znaczyć? Czyżby się grabarze pogodzili z panem?.

Twardowski się roześmiał.

- Nie. Panie, oni się ze sobą nie pogodzili; tylko Kozieniecki się przestał z nimi godzić. Składa dowód, że jest naprawdę człowiekiem honorowym.

Piętka widocznie jeszcze nie rozumiał. Słuchał zdziwiony i czekał na wyjaśnienie.

- Kozieniecki - mówił dalej Twardowski - grabarzem nie jest. On tylko się z nimi przyjaźnił. Dowiedziawszy się zaś o ich bezceństwach, postanowił tę przyjaźń zerwać. Oburzyło go, że przez nich stał się mimowolnym oszczercą i jako człowiek honorowy postanowił odwołać oszczerstwo u wszystkich, którym je powtarzał.

Piętka był pod silnym wrażeniem tego, co usłyszał.

- To rzeczywiście bardzo uczciwie z jego strony. I to byłoby dowodem, że nie należy do grabarzy. A myśmy byli pewni tego...

- Dobrze panowie zrobią, jeżeli go będą traktowali życzliwie. To nie jest bohater, ale to człowiek uczciwy. Nie można oczekiwać od niego wielkich poświęceń, ale przy jego zdolnościach może być z niego duży pożytek.

- Pan zna się na ludziach.

- Chciałbym się znać lepiej. To przecież mój zawód.

Drzwi gabinetu uchyliły się i ukazał się Michał.

- Chodźmy coś zjeść - rzekł Twardowski - a potem pogadamy. Chce dziś pomówić z panem o ważnych rzeczach.

Przy stole Piętka opowiadał mu o stosunkach uniwersyteckich. Charakteryzował profesorów, zatrzymywał się dłużej nad tymi, których nazywał "naszymi" i wyliczali niewątpliwych grabarzy. Mówił szeroko i bardzo przyjaźnie o młodzieży:

- Z tych grabarze nie będą mieli pociechy. Ogromna większość młodzieży idzie z nami. Porządne chłopaki! Niestety, mało się garną do pracy naukowej. Zdaje się, panie, że idziemy do ogromnego obniżenia umysłowości.

- To się widzi nie tylko w Polsce i w tym tkwi ogromne niebezpieczeństwo dla przyszłości. Wszędzie się odbywa fabrykowanie ludzi sprytnych a powierzchownych, którzy wobec trudniejszych położeń są bezradni.

- Boje się - rzekł profesor - że nasza Polska z takimi ludźmi daleko nie ujedzie. Ale co na to poradzić?

- Trzeba walczyć, walczyć z ciemnotą, pewną siebie, blagującą, zamazującą trudności, wystawiającą okazale fronty, poza którymi się kryje słabość i nędza. Trzeba wśród piasku szukać ziarenek szlachetnego kruszcu: lepszemu materiałowi na ludzi nie trzeba dać utonąć w zalewającej go miernocie.

Rozgadali się na ten temat. Twardowskiemu profesor coraz bardziej się podobał. Gdy wrócili do gabinetu, od razu przystąpił do rzeczy:

- Postanowiłem, a właściwie muszę, choćbym nie chciał, prowadzić walkę z działalnością związku grabarzy. Taka walka niemożliwa jest w pojedynkę. Organizacji trzeba przeciwstawić organizację.

- My mamy organizację - rzekł Piętka. - Mówię to panu, bo mam do pana zaufanie i spodziewam się, że pan będzie jednym z naszych.

Twardowski oczekiwał podobnej odpowiedzi. Niemniej ucieszył się, gdy ją usłyszał.

- Dobrze – odrzekł - pójdę z wami z całą gotowością. Ale uprzedzam, że będziecie mieli ze mną kłopot.

- Dlaczego?

- Dam z siebie dużo, ale będę dużo od was wymagał. Nie rozumiem walki nierozegranej, walki która jest niekończącą się nigdy kłótnią. Jeżeli się walczy, trzeba iść do zwycięstwa. Nie wolno szcędzić wysiłków i ofiar, ażeby walkę ostatecznie rozegrać. Kłótnie rozkładają tylko siły narodu, rozegrane walki, choćby najokrutniejsze, robią go potężnym.

Piętka otworzyli szeroko usta.

- Jak pan myśli szybko powalić takiego silnego przeciwnika? - zapytał.

- Przez to, że będziemy od niego silniejsi. Sam pan mówił, że nie jesteście słabi,

a młode pokolenie idzie z wami. To najważniejsze. .

- Tak, ale do ostatecznej walki potrzebni są nie tylko ludzie. Nam brak środków materialnych. Pan nie zna Polski, nie wie pan, jak tu trudno grozić na najważniejsze cele wydobyć...

Po chwili dodał z goryczą:

- Pod tym względem Polacy są wprost wstrętni.

- Nie wierzę - rzekł z mocą Twardowski. - Nie wierzę, żeby silna organizacja nie umiała zdobyć sobie środków. Jeżeli jest ich pozbawiona, to jej wina. Zresztą na początek ja środków dostarczę.

- Skąd? - spytał Piętka, widocznie zaniepokojony.

- Niech się pan nie boi; źródło czyste. Będzie nim moja własna kieszeń.

- Paniska kieszeń? Przecież pan nie jest człowiekiem bogatym?..

- Słyszał pan to z moich ust, kiedy rozmawiałem z Topolińskim u Osieckiego.

Później grabarze panu powiedzieli, że jestem bankrutem. Z przyjemnością panu komunikuje, że jestem naprawdę bogaty, że mój zmarły stryj nie stracił ani grosza ze swego majątku i wszystko mi zostawił. Tylko staram się, żeby oni o tym nie wiedzieli. Dlatego okłamałem Topolińskiego, widzę, że skutecznie.

- Zdębiałem - rzekł otwarcie Piętka, na którym słowa Twardowskiego wywarły potężne wrażenie. - Dostać takiego człowieka, jak pan i to jeszcze bogatego, i nie tylko bogatego, ale chcącego dać pieniądze...

Zamyślił się.

- Nie byłem - rzekł - przygotowany na taki wynik naszej rozmowy. Sam nie dogadam się z panem. Nie czuje się do tego na silach i nie mam prawa więcej mówić. Poznam pana z ludźmi ważniejszymi ode mnie.

- Dobrze. Chce się dowiedzieć, co i jak robicie. Obawiam się, że wiele ustępujecie swoim przeciwnikom nie tylko w środkach, ale i w sposobach walki.

- My nie możemy się posługiwać takimi łajdackimi metodami, jak tamci.

- Słusznie. Ale tym więcej trzeba energii i przejęcia się sprawą. Są wszakże metody, które można od nich przejąć. Dam panu przykład. Dziś otrzymałem list z Paryża od jednego z moich przyjaciół, który mi donosi, że tam w kołach moich znajomych naraz zainteresowano się niezwykle moją osobą. Pewni ludzie prowadzą formalne śledztwo, wypytyują o moją przeszłość, o moje zwyczaje i nałogi, o stosunki itd. Wie pan, co to znaczy? To, że tutejsi grabarze, rozpoczynając walkę ze mną i wiedząc, że dotychczas przebywałem głównie w Paryżu, tam szukają materiału do niej. Może uda się wykryć jakiś skandal, może nawet jakieś przestępstwo, słowem, jakiś środek szantażu, przy którego pomocy można by mnie obezwładnić. Szantaż - to jedna z najnikczemniejszych broni. Ale wiedzieć o przeciwniku i jego sprawkach, zwłaszcza, gdy jest on nikczemnikiem, a uchodzi za uosobienie cnoty, to rzecz

niezbędna. Wy zaś bodaj nie wiecie nawet, z kim walczyacie. Pan, na przykład, nie domyśla się kto kieruje waszymi uniwersyteckimi grabarzami?...

- Myślę, że Topoliński.

- To tylko pacholek. Czy słyszał pan o mecenasie Henryku Culmerze?

- Mecenasie Culmerze?.. Tyle wiem, że to jakaś bardzo poważna osobistość.

Ma

podobno jakieś wielkie zasługi, o których zresztą nic nie wiem.

- Ot, widzi pan. Jest to jeden z największych łotrów, a przy tym głowa grabarzy, z którymi ma pan do czynienia w życiu uniwersyteckim.

- Co pan mówi - zawołał z niedowierzaniem Piętka.

- O prawdzie słów moich przekona się pan niebawem. Jakże można skutecznie walczyć, orientując się tak słabo?

- Ale skąd pan to wie?...

- Niech panu na razie wystarczy, że wiem. Nie dość uderzać w pacholeków.

Dlatego chciałbym, żebyście mi pomogli dobrać się do Culmera. Tymczasem niech pan o nim nie mówi z nikim.

- Dlaczego? Trzeba łotra demaskować.

- Trzeba, ale ze skutkiem. Co przyjdzie z pańskiego demaskowania, gdy nikt nie uwierzy? Im większy łotr, tym umiejętniej trzeba z nim walczyć. Przy pomocy nieprawdopodobnej wprost obłudy wyrobił on sobie pozycję zacnego człowieka. Trzeba mądrej i wytrwałej pracy, żeby tę pozycję zniszczyć.

Piętka z podziwem przyglądał się Twardowskiemu.

- Wie pan - rzekł - u nas takich, jak pan, ludzi nie ma. U nas nie robi się planów na długi dystans, ale działa się na gorąco.

- Żartuje pan - rzekł Twardowski. - Gdyby było prawdą to, co pan mówi, zawsze musielibyśmy być bici.

- Może trochę przesądziłem, ale nie jestem daleki od prawdy. Zdaje się, że nasi ludzie czegoś się od pana uczą.

Po wyjściu profesora Twardowski myślał długo.

Niezawodnie przez Piętkę zetknie się z ludźmi, których szukał. Piętka wszakże nie był zbytnim optymistą. Czy w tych ludziach znajdzie wiele, oprócz dobrych chęci? Do czego są zdolni?... Jeśli grzeszą tylko nieumiejętnością czy będą umieli wiele się nauczyć? Jednakże sam Piętka, choć jak mówi, nie odgrywa wśród nich pierwszej roli, Przedstawia się dobrze. Sądząc po nim, to są ludzie mocnych zasad i zdolni. W stosunku do sprawy, której służą, mają coś, czego nie spotykał na Zachodzie. Jakiś stosunek nieosobisty, chwytający za serce. Od nich można dużo oczekiwać...

- A jeżeli tak - rzekł do siebie - to się zabawimy, panie Culmer.

Nazajutrz rano Twardowski stawiał się o wyznaczonej mu godzinie w gabinecie mecenasa. Zastał go, siedzącego przy biurku, poważnego i godnego, z miną wyczekującą. W milczeniu wskazał miejsce naprzeciw siebie. Twardowski usiadł i nie śpieszył się z zaczęciem rozmowy. Spokojnie mierzył mecenasa wzrokiem.

- Cóż pana do mnie sprowadza, panie Twardowski? - ten zapytał, cedząc wyraz po wyrazie.

- Zaraz panu to powiem, panie Kulmer.

Mecenas udał, że nie słyszał zmienionej pronuncjacji jego nazwiska, tylko z twarzy jego znikł olimpijski spokój.

- Od niedawnego czasu - rzekł Twardowski - rozchodzą się po Warszawie potworne o mnie wieści. Nie będę panu powtarzał, co mówią: pan to wie najlepiej, gdyż zawsze jest pan dobrze poinformowany. Jak pan myśli, czy to długo będzie trwało?

- Co?

- Ta kampania oszczercza.

- Cóż mnie to obchodzi?

- Jak widzę, ma pan zwyczaj odpowiadać zapytania pytaniami. To zwyczaj żydowski.

- Niech pan powie od razu, z czym pan przyszedł. Nie mam czasu na słuchanie dowcipów.

- To się nie da tak w paru słowach powiedzieć. Zacznę od mego zmarłego stryja, którego życie jest mi dobrze znane bardzo dobrze, panie mecenasie. Otóż ten, jak pan mówił, pański przyjaciel "drogi Alfred", był zajadle prześladowany, a główną bronią, przeciw niemu używaną, był cały system nikczemnych oszczerstw. Pan, jego taki bliski przyjaciel, ma się rozumieć wie, co było tego przyczyną?

Culmer widział, że komedia, którą grał na początku, była chybiona, że młody Twardowski więcej wiedział, niż okazywał. Z musu stał się bardziej otwartym.

- Pański stryj ukradł rzecz, która mu była powierzona i zdradził ludzi, którzy mu zaufali.

- Panie Kulmer, niech wyrazi, których pan użył, mówiąc o moim zacnym stryju, więcej z ust pańskich nie wyjdą. Jeżeli za nie pana w tej chwili nie ukarałem, jak należy, to tylko dlatego, że nie chce jeszcze kończyć naszej rozmowy. Zresztą, mam gorsze względem pana zamiary.

- Culmer zbladł. Nie odpowiedział ani słowa.

- Ja wiem – ciągnął Twardowski - co stryj wam zabrał. Ten dokument na równi z innymi jest w moim posiadaniu.

Tu mówił nieprawdę; miał tylko słabą nadzieję, że dokument odnajdzie wśród papierów stryja. .

- Spodziewał się pan zdobyć go przy porządkowaniu papierów w Turowie. Dlatego się pan tak po przyjacielsku ofiarował do tej nudnej pracy. Niestety, wizyta, po której pana wyrzucono za koh1ierz z turowskiego domu, była ostatnią.

Bolesne wspomnienie nie pomogło Culmerowi do zachowania spokoju.

- Po coś pan przyszedł?

- Po to, by panu powiedzieć, iż walkę, która mi wypowiedzieliście, przyjmuję. Postanowiliście zniszczyć mnie oszczerstwami, za to, że do was nie przystałem, tak jak zniszczyliście mego stryja za to, że was opuścił. Ja was będę niszczył, odślaniając wasza nikczemność.

- Pan nas będzie niszczył... - cedził Culmer szyderczo. - Kto pan jesteś? Co pan znaczysz?... Pojedynczy człowiek, bez stosunków, bez pozycji, bez majątku... Przeciw komu śmiesz pan rękę podnosić?..

- Niech pan nie myśli, panie Kulmer, że się porywam na wroga, którego nie znam. Ja cośkolwiek o was wiem. Przede wszystkim znam wasza wiedzę tajemną; studiowałem ją przez lat dziesięć. Tak, to były moje studia. Cóż to za wiedza?...Po ludach starożytnych, które poznawały zjawiska droga empirii, bez rozumienia ich przyczyn, pozostało trochę ochłapów ich wiedzy, przechowywanych w tajnych organizacjach, złożonych z ciemnych półbarbarzyńców. Wyście te ochłapy odziedziczyli i niezdarnie ich używacie do imponowania ciemnym, choć pozornie wykształconym adeptom, do sugestionowania ich, hipnotyzowania w waszych inicjacjach, do robienia z nich swoich biernych narzędzi. nie tylko w czynach, ale i w myślach, do przerabiania ludzi na bydłeta. Ale to się wkrótce skończy. Nie zadrugo z popularnych książek ludzie będą dowiadywali się więcej, niż wyście kiedykolwiek wiedzieli...

Culmer słuchał, coraz szerzej otwierając oczy.

- Macie ludzi wielkich?- mówił dalej Twardowski. - Nie, wy staracie się niszczyć, łamać tych, co przerastają was głowami. a na ich miejsce podstawiacie miernoty. które wydymacie droga bezwstydną reklamą. Od tych wydeptych miernot świat dzisiaj się roi. Za waszą protekcję służą wam tak, jak im ich mizerne zdolności pozwalają. z zaparciem się swojego sumienia, honoru i godności ludzkiej. Ale mewacie wśród siebie wielkich łotrów. którzy używają tej potęgi. Jaka jest tajna organizacja, do swoich osobistych, nikczemnych celów. Są tam jeszcze więksi od pana.

Culmer się zerwał.

Twardowski spokojnie powstał z miejsca.

- Jak pan widzi, znam was nieźle. Wiem dużo. bardzo dużo faktów, nad którymi się tu rozwodzę. Zużytkuję je w walce z wami. Do widzenia. Jeszcze się pewnie zobaczymy.

- Wątpię - odrzekł nieuprzejmy gospodarz.

- Jeszcze słowo - rzekł Twardowski. - Niepotrzebnie tracicie czas, prowadząc dochodzenia o mnie w Paryżu. Nic nie znajdziecie, żadnego skandalu, żadnego najdrobniejszego nawet występku. Jestem człowiekiem. który nic ze swej przeszłości nie ma do ukrycia. I to moja wielka siła, którą pan odczuje, panie Kulmer.

Wracał do domu piechota. Przed domem stała jego limuzyna. a przy niej na chodniku stał Marek. Ujrzawszy zbliżającego się pana, szofer się wyprostował.

- Grzegorz jest w mieszkaniu - zaraportował.

- Ksiądz proboszcz przysłał do nas wczoraj wieczór i kazał wcześniej rano jechać do Warszawy.

Twardowski przypomniał sobie, że proboszcz przy pożegnaniu obiecał mu przysłać Grzegorza i samochód.

Dom posiadał garaż, należący do jego właściciela, a w mieszkaniu był pokój na pomieszczenie Grzegorza i szofera.

- Aż za dobrze będą strzeżony - rzekł do siebie Twardowski.

W przedpokoju rzucił mu się na piersi Piorun.

- A ty co tu robisz? - zawołał Twardowski.

- Po co biednego psa przywieźliście do miasta? - zwrócił się do Grzegorza, który go witał głębokim ukłonem.

- On się tu może bardzo przydać, proszę pana. Nie wiadomo, co się zdarzy. A co by robili na wsi, gdy ani pana, ani mnie nie ma.

Piorun rzucił porozumiewawcze spojrzenie Grzegorzowi, zauważywszy, że o nim mówi, ale stał ciągle, oparty o piersi pana i wyciągał mordę ku jego twarzy, usiłując zbyt poufale z nim się przywitać. Dopiero, gdy pan zburczał go dobrodusznie za włączenie się daleko od domu, zaczął słuchać ze skupieniem, ale widać było, że nie bierze nagany na serio. Manifestował ogonem, że spotkanie z panem wynagrodziło mu nudną podróż samochodem. Mrukiem zadowolenia odpowiedział, gdy Twardowski swoim zwyczajem gniótł mu kark mocno; potem stanął na cztery łapy i starał się ani na chwilę pana nie odstępować.

Wchodząc do gabinetu, Twardowski, zawołał za sobą Grzegorza.

- Zdaje się - rzekł, że tęsknisz za swoim Kolmarem. On się właściwie nazywa Kulmer. Masz tu jego imię, nazwisko i adres. Powłócz się trocnie w tamtej okolicy, to go zobaczysz. Tylko pamiętaj, że ma teraz dłuższą brodę i że od tamtego czasu osiwiiał. Jest całkiem biały.

- Już ja go poznam, choćby po oczach.

- Tylko, żeby on ciebie nie widział.

- Może pan być spokojny.

Zapytał siłacza, czy nie mógłby mu znaleźć paru ludzi, którzy by chodzili za Culmerem i wywiedzieli się, co on robi w dzień i wieczorem, u kogo bywa, kim są jego przyjaciele itd. Musieliby to być ludzie sprytni; dostaliby przyzwoite wynagrodzenie.

Grzegorz go zapewnił, że ludzi nie brak, tylko trzeba ich znaleźć. Miał nadzieję, że znajdzie ich rychło przez starych znajomych, których odszuka.

Twardowski zaczął przygotowywać się do rozpoczęcia ataku. Starał się już ani chwili nie tracić.

Rozdział XX

Przyjaciele Piętki, o których ten wspominał Twardowskiemu, mieli dwa stałe, chroniczne kłopoty: brak ludzi - chodziło o jakość - i brak pieniędzy - chodziło o ilość. Przedsięwzięcia rozbijały się o brak dzielnych i umiejętnych wykonawców i o niemożność sfinansowania rzeczy, nawet na skromną skalę. Niezawodnie, gdyby sami byli lepszymi kierownikami, gdyby przy dobrych chęciach i dużym rozumieniu położenia i potrzeb Polski posiadali większą umiejętność przerabiania myśli w czyn, i ludzi by sobie lepiej wyrobili, i środków więcej umieliby zdobyć. Na ich korzyść trzeba powiedzieć, że rozumieli słabe strony nie tylko swego położenia, ale w niemałej mierze i swoje własne.

Gdy Piętka zdał im sprawę ze swojej rozmowy z Twardowskim, uznali, że profesor zrobił wielkie odkrycie. Znalazł człowieka, zawziętego na grabarzy, wiedzącego, zdaje się, dużo o nich, człowieka niepospolitej inteligencji, energicznego, a przy tym mającego pieniądze i gotowego je dawać Z tyłoma zaletami w jednej osobie jeszcze nie mieli do czynienia.

Zetknięcie się osobiste z Twardowskim nie tylko nie osłabiło relacji Piętki, ale wzmocniło ich pojęcie o nowym nabytku. Twardowski miał ogromną siłę sugestywną, której ulegała nie tylko panna Wanda Czarnkowska.

W ciągu kilku dni wszedł między nich, wziął udział w kierowaniu ich sprawami, niepostrzeżenie zaczął komenderować wszystkimi.

Wykazał im, że to, co oni nazywają organizacją pracy i walki, jest raczej klubem porządných ludzi. Schodzą się, znoszą sobie wiadomości o tym, co się dzieje, dyskutują, wreszcie uchwalają rozmaite rzeczy. To wszakże, co jest uchwalone, wykonuje się słabo, bez doprowadzenia rzeczy do końca; czasami zaś nic się nie robi. Za wiele się dba o pokazanie na zewnątrz swej siły i wartości, na to się poświęca najwięcej energii, skutkiem czego brak jej na rzeczy istotniejsze.

Doszedł rychło do uogólnienia, iż Polak tym się przede wszystkim różni od Francuza, Anglika lub Niemca, że więcej dba o pozory, niż o rzecz samą, że najłatwiej wydobywać z niego energię, gdy chodzi o efekt zewnętrzny, że trudno go rozpalić do działań choćby najskuteczniejszych, ale na razie nie efektywnych.

Niemniej polubił swoich nowych przyjaciół i nabrał przekonania, że można z nimi wiele zrobić. Mieli oni dużo ludzi w całym kraju, ludzi odgrywających nieraz ambitną rolę w społeczeństwie, i rozporządzali wcale wpływową, choć na ogół źle finansowo postawioną prasą.

Zaczął od tego, że namówił ich na wielkie zmiany w samej organizacji w celu zrobienia jej istotnym narzędziem czynu. Choć sam nigdy do żadnej organizacji nie należał, dzięki zmysłowi praktycznemu i logice okazał się lepszym organizatorem od

innych. Popełniał błędy skutkiem nieznamośności środowiska, ale szybko je spostrzegał i natychmiast naprawiał. W krótkim czasie zdołał wywołać sporo niezadowolonych, bo ciągle ludzi popędzał, ciągle męczył, mając złudzenie, że w Polsce można żądać od ludzi takiego napięcia energii, jak na Zachodzie. Dopiero doświadczenie go nauczyło, że tu ludzie rychlej się męczą, raz dlatego, że nie umieją przeprowadzić ściśle granicy między pracą a rozrywką, w pracy szukają rozrywki, a chwile odpoczynku psują, gadając ciągle o najcięższych swych troskach; po wtóre dlatego, że mają słabsze, gorzej wyćwiczone nerwy; wreszcie dlatego, że przy pracy wykonują całe mnóstwo niepotrzebnych ruchów.

Gdyby nie to, że sam pracował za kilku i że na urzeczywistnienie swych projektów dostarczał środków, byli by go wkrótce mieli dosyć.

Jeszcze mniej od organizacji zadowalała go prasa. Nie wiele znał się na polityce

w ogóle, a na polityce polskiej nie znał się wcale. Nie mógł więc sądzić o wartości politycznej prasy. Podobno miała duże zalety i zasługi. Atoli poza sferą właściwej polityki uważał ją czasami za nieporozumiałą. Walczyła z grabarzami, ale z reguły pomagała tymże grabarzom puszczać w świat fabrykowane przez nich wiadomości i poglądy, reklamowała wydymane przez nich wielkości, ich rozmaite obroty międzynarodowe, nawet pomagała czasami zwalczać ludzi, którzy się narazili grabarzom, i przedsięwzięcia, stojące im na drodze.

Postanowił przynajmniej jeden na razie dziennik tak zorganizować, żeby prowadził konsekwentną walkę w każdym wierszu. Dotknąwszy się do tego, spostrzegł, że to będzie długa praca, bo ludzi nie ma i trzeba ich dopiero wyrobić; że pochłonie ona dużo pieniędzy. Tych wszakże nie miał zamiaru żałować. I przy pomocy znacznej sumy, ofiarowanej z własnej kieszeni, uzdrowił na razie finansy obranego dziennika.

Pomimo to wszystko czuł się dobrze. Widział, że praca jego zaczyna dawać wyniki i że zaczął poznawać Polskę od jej najważniejszej strony. Był pewien, że grabarze wkrótce odczują na swej skórze jego działalność.

Pomiędzy jego nowymi przyjaciółmi powtarzano często nazwisko człowieka, którego nie znał. Powoływano się na niego jako na autorytet, pytano, co on w tej lub innej sprawie myśli, dowiadywano się troskliwie o stan jego zdrowia. Raz wreszcie powiedziano znacząco Twardowskiemu, że go zaprowadzą na konferencję w niewielkim gronie u Grzybowskiego.

Zastał starca, wyglądającego na lat osiemdziesiąt, choć jak mówiono, dobiegał dopiero siedemdziesiątki. Nie ruszał się z fotela, w którym siedział w ciepłym szlafroku, szczupły, niewielkiego wzrostu, z twarzą wynędzniałą, siwowłosy. Na stoliku przy nim stało jakieś lekarstwo, które go widocznie często zażywał. Wyciągnął rękę do Twardowskiego.

- Przepraszam pana, że go tak przyjmuję. Dziś wszakże czuje się gorzej, niż zwykle. To też nie dam się tym panom męczyć długo. Omówimy prędko sprawy, z którymi przyszli, a pana poproszę, żeby pan został u mnie na chwile - ma się rozumieć, jeżeli pan ma czas - to sobie we dwójkę pogadamy.

Istotnie, dyskusja w sprawach, dla których zebrano się u Grzybowskiego, trwała krótko. Zdanie gospodarza zwykle przekonywało zebranych i zgodnie z nim zapadała decyzja. Twardowski zauważył, że ten starzec ma umysł niezwykle jasny i mocną logikę. Imponowała mu u niego głęboka znajomość Polski i wytrwałość sądu, pochodząca z długoletniego doświadczenia. Najwięcej podziwiał temperament, który schorzałego starca czasami ponosił jak młodzieniaszka.

Gdy po rozejściu się zebranych zostali sami, gospodarz, uśmiechając się, rzekł:

- Jest pan podobny do swego stryja, jakby pan był jego rodzonym synem.
- Pan go znał? - zapytał Twardowski skwapliwie.
- Poznałem go na parę lat przed wybuchem wojny światowej i nawet zbliżyliśmy się politycznie. Wkrótce po wybuchu wojny znikł z widowni i od tego czasu już go nie widziałem. Napisałem nawet raz artykuł przeciw kanalii, która go napadała i prześladowała oszczerstwami. Zdaje mi się, że rozumiem tragedię tego człowieka; on musiał należeć do grabarzy i porzucił ich, gdy zobaczył do czego zmierzają. Za to przede wszystkim mścili się na nim. Niestety, był to indywidualista, nie umiejący zgrywać swych wysiłków z działalnością innych ludzi, podobnie jak on myślących. Szedł samopas, walczył na własną rękę i został pobity.

- Spotykam dopiero drugiego człowieka, który mówi o nim prawdę – rzekł Twardowski. - Pan się słusznie domyślał, że on opuścił grabarzy i że był z nimi w walce. Ja to dziś wiem pozytywnie. Teraz ja z nimi walczę. Tylko ja nigdy do nich nie należałem, choć chcieli mnie wciągnąć.

- Pan nie popełnia jego błędu, rozumie pan potrzebę organizacji... choć jest pan także nie miałym indywidualistą.

Twardowski spojrzał bystro na starca.

- W czym pan to widzi? - zapytał.

- Pomówimy kiedyś o tym, gdy będę zdrowszy. Choć i wtedy może się nie wytłumaczę jasno. Pan jest psychologiem i wie pan niezawodnie, że w diagnozie psychologicznej, jak w lekarskiej, buduje się często na znamionach i objawach prawie nieuchwytnych, nie dających się ująć w formułę.

- Zdaje się, że zacznę się uczyć od pana psychologii - zauważył Twardowski.

- Niech pan nie przesadza. Nie znaczy to, żeby nie było rzeczy, których bym mógł pana nauczyć. I na pewno byłoby bardzo dobrze, żeby się pan ich ode mnie dowiedział. Za mało zna pan Polskę.

- Prawie jej nie znam. I naukę z wdzięcznością przyjmę. Czy pozwoli pan się odwiedzać?

- Każdego dnia po południu, gdy pan nie będzie miał nic do roboty, niech pan sobie mnie przypomni i niech pan wie, że mile będzie widziany.

W ciągu najbliższych dni Twardowski dwa razy odwiedził Grzybowskiego. Jemu jednemu opowiedział całe swoje przejście z Culmerem.

Stary się ogromnie całą sprawą zainteresował: wypytywał o najdrobniejsze szczegóły. Miał coś w sobie, co zmuszało do całkowitej szczerości. Była to przede wszystkim jego szczerość, bezwzględna, czasami wprost brutalna.

Toteż Twardowski za trzecim u niego pobytem bez ogródek wypowiedział wszystko, co myśli o swoich nowych przyjaciółach. Porównywał ich z ludźmi na Zachodzie i wykazywał ich niższość pod każdym względem.

- Dobrze pan podpatrzył - rzekł Grzybowski - ich wady i słabe strony. Z czasem dojrzy pan ich więcej. Ale wielu z nich ma jedną, ogromną wyższość nad ludźmi na Zachodzie i ..nad panem.

Twardowski czekał, co dalej usłyszy.

- Na Zachodzie odbył się pewien proces w duszach ludzkich - pod jakimi wpływami, o tym dałoby się dużo powiedzieć - który tak zindywidualizował ludzi, że to już staje się niebezpieczne. Człowiek tam w każdej sprawie, do której się bierze, musi mieć jakiś swój cel osobisty. W chwilach wielkich, niezwykłych, jak na przykład ostatnia wojna, umie się poświęcić, często także z motywu osobistego - dlatego, że jemu,

szanującemu się człowiekowi, nie wolno inaczej postąpić. W normalnym zaś życiu myśli tylko osobie i swoich celach. Nasi ludzie umieją służyć sprawie, do której są przywiązani, ojczyźnie przede wszystkim, usuwając całkowicie ze swej myśli swoje cele i interesy osobiste. Dlatego są niedołęzni w porównaniu z tamtymi, bo człowiek, z bardzo rzadkimi wyjątkami, na największą energię się zdobywa, gdy o niego chodzi osobiście. Pan jest o wiele energiczniejszy od naszych ludzi... Ale zapytajmy; dlaczego pan wszedł między nich i pracuje z nimi?... Bo ma pan cel osobisty. Postanowił pan zmiażdżyć Culmera, z którym ma pan porachunki za swego stryja i za siebie. I kieruje pan robotą tak, żeby służyła przede wszystkim temu celowi. Gdyby nie Culmer, niezawodnie tkwiliby pan nadal w swej psychologii patrzył na świat okiem obojętnego, obiektywnego obserwatora.

Ton Grzybowskiego był spokojny, obiektywny, jakby rozprawiał o człowieku nieobecny. Widocznie nic go nie kosztowało mówić niemiłą prawdę ludziom w oczy. A przy tym wszystkim czuć było w jego tonie życzliwości szacunek dla słuchacza.

Twardowski nie czuł się urażony, tylko stwierdził w duchu, że ma do czynienia z niezwykle gatunkiem człowieka.

- Więc ja, zdaniem pańskim, źle robie? - zapytał.

- Nie - odrzekł starzec. - Culmera i jemu podobnych trzeba tępić, jak się tępi drapieżne zwierzęta i jadowite gady. Jeszcze ważniejszą rzeczą jest rozbijać i niszczyć organizację. Pan to chce robić i przyszedł pan dla nas w porę. Ja tylko wskazuję wielką zaletę naszych ludzi, z której pan korzysta. Oni Culmera nie znają, nie mają z nim żadnych porachunków. Nawet od grabarzy w ogóle nie zdążyli przeważnie doznać krzywd osobistych. A jednak idą z panem w walce przeciwko nim i Culmerowi. Dlaczego?... Bo umieją się mocno przejąć celem nieosobistym. Prawda, że nie umieją włożyć w tę walkę tyle, co pan, energii. To wszakże nie tylko dlatego, że są trochę niedołęgi, ale także i dlatego, że dla nich nie zamyka się wszystko w Culmerze i w jego bandzie, że czują się odpowiedzialni za wiele spraw, które pana w tej chwili mało obchodzą, albo nie obchodzą wcale.

Juz ksiądz Rybarzewski zmuszał czasem Twardowskiego do zastanawiania się nad rzeczami, o których nigdy przedtem nie myślał. Grzybowski zrobił to w o wiele większej mierze. Ta rozmowa była dla niego wprost rewelacją. W następnych dniach nieraz powracał do niej myślą. Grzybowski miał słuszość. On, Twardowski, w porównaniu z ludźmi, z którymi obecnie się związał jest ogromnym indywidualistą. W celach swoich jest o wiele więcej osobisty. Ale czy tym samym nie jest wyższym typem człowieka? Czy nie stoi na wyższym szczeblu cywilizacji?... Przecież największym dziełem cywilizacji europejskiej jest to, że wykształciła ona samoistną, indywidualną duszę ludzką, że wyzwoliła ją ze stada, które nad nią panuje u ludów barbarzyńskich. To jest niezbita prawda.. A jednak na tym stanąć, tym się zadowolić nie można. Bo czyż nie jest niewątpliwą wyższością moralną, gdy człowiek umie się wznosić ponad swoje interesy, ambicje, nad swoje osobiste, choćby najlepszego gatunku cele, jeżeli umie oddać siły sprawie zbiorowości, społeczeństwa, narodu, w której dla siebie osobiście żadnej korzyści nie widzi, a nawet narażony jest na straty?...Co by się stało z cywilizacją, ze społeczeństwem, a więc i z jednostką do społeczeństwa należącą i tylko w społeczeństwie mogącą żyć i rozwijać się, gdyby ludzie całkiem zatracili tę zdolność wzniesienia się ponad swe cele osobiste?...Ścierające się, niczym, nie hamowane dążenia osobiste sprowadziłyby rozstrój, upadek społeczeństw, ruinę cywilizacji i zdziczenie jednostki ludzkiej.

Te spory wewnętrzne, prowadzone z samym sobą, zakończyły się odkryciem, z którego, jak ze wszystkich swoich odkryć, ogromnie się ucieszył.

Doszedł do przekonania, że jednocześnie z dobroczynnym procesem dojrzewania samoistnej duszy ludzkiej, w cywilizacji europejskiej odbywa się proces inny, niebezpieczny – zrywania węzłów moralnych, łączących te dusze z narodem. Nie jest koniecznością, żeby ten drugi proces towarzyszył pierwszemu. On ma odrębne źródła, które dla dobra cywilizacji należy usuwać i niszczyć. Najgłówniejszym z nich jest robota takich organizacji, jak grabarze, pracujących przeciw ojczyźnie. .

Zrobiło mu się w duszy jasno. Przecież on sam, Choczą przesiąknięty atmosferą Zachodu, wychowany z dala od ojczyzny, czuje w głębi swej duszy jakąś siłę, która przeciwstawia się jego egoizmowi, jego indywidualizmowi, siłę, która była prawie zgłuszona, ale zaczyna brać w nim coraz bardziej górę i czyni go sługą czegoś, co jest ponad nim. To coś - to ojczyzna.

Przypomniał sobie, jak go za serce chwyciło, gdy po raz pierwszy odczuł u swoich nowych przyjaciół ten nie osobisty stosunek do spraw, którymi się zajmowali. To odpowiadało jego własnym instynktom, uśpionym przez wychowanie poza krajem.

Przed kilku laty rozpoczął był pisanie książki o roli sugestii w powstawaniu i rozwoju społeczeństw. Oddawał się tej pracy z zapałem - miało to być główne dzieło jego życia. Prace te przerwała śmierć stryja, która sprowadziła go do Polski. Próbował prowadzić ją dalej w Turowie, ale mu się to nie udawało. Znadto go pochłaniała zagadka przeszłości stryja, którą postanowił rozwiązać, i rozpoczęła walka.

Dziś pod wpływem rozmyślań, do których zmusiła go rozmowa z Grzybowski, spostrzegł, że przybył mu nowy, pierwszorzędnej wagi rozdział do jego książki, rozdział zdobyty w znacznej mierze drogą osobistych doświadczeń w czynnym życiu. Zrozumiał znaczenie życia czynnego dla umysłu. Ileż to prawd nie dochodzi do umysłów badaczy społeczeństw, historyków, dlatego, że z dala patrzą na życie, sami nie biorąc udziału czynnego w działaniach, które przekształcają społeczeństwo i robią historie...

Dopiero teraz widzi, jak olbrzymią rolę odgrywa sugestia organizowana planowo przez związki ludzi, w tym celu założone, do jakiego stopnia może ona zmieniać i wykołajać żywiołowy rozwój społeczeństwa. Im więcej myślał, tym więcej przedmiot ten rósł, olbrzymiał w jego pojęciach. Czuł potrzebę pomówienia z kimś o tym dla skontrolowania wyników, do których doszedł.

Jedynym człowiekiem, który mógł mu coś mądrego powiedzieć, był Grzybowski. Poszedł znów do niego.

Grzybowski nie był uczonym; gorzej, nie miał nawet tej dyscypliny umysłowej, jaką daje porządne, systematyczne wykształcenie. Nie odbył nawet studiów uniwersyteckich. Zaledwie je rozpoczął, gdy wplątany w jakiś proces polityczny, został uwieziony, a potem wysłany na północ Rosji. Czytał niesłychanie dużo, ale niesystematycznie. Miał wszakże jeden wielki dar: uriał patrzeć w życie, rozumiał znaczenie faktów i z zestawienia ich wyciągał logiczne wnioski. Miał przy tym w wysokim stopniu to, co jedni nazywają intuicją, a drudzy po prostu nosem. Wygłaszał czasem teorie własnego pomysłu, które można było obalić przytoczeniem jednego, nieznanego mu faktu, ale nieraz robił uogólnienia genialne, na które się nikt przed nim nie zdobył.

Twardowski, rozmawiając z nim, porównywał go z wybitnymi uczonymi na Zachodzie, których znał wielu i znał blisko. Tamci niezawodnie patrzyliby na niego, jak na umysł chaotyczny, odbiegający ciągle od przedmiotu, nie znający niczego gruntownie, robiący uogólnienia lekkomyślne, niepoważne; a jednak mózgi tamtych w porównaniu z jego mózgiem, zamkniętym w szerokiej, pękatej czaszce, pracowały

słabo. I mówił sobie, że gdyby ten człowiek przeszedłby należytą szkołę i poświęcił się nauce, niewątpliwie zrobiłby rzeczy genialne. Raz mu to nawet powiedział, na co usłyszał:

- Co tam, panie, nauka: nigdy bym w niej nie usiedział. Ważniejsza rzecz robić życie, robić porządną Polskę.

Niewątpliwie, człowiek z temperamentem Grzybowskiego w pracy naukowej nie wytrzymałby.

Twardowski, przyszedłszy do niego ze swoimi myślami o znaczeniu celowo organizowanej sugestii, stwierdził, że ten przedmiot nie był dla Grzybowskiego nowy, że myślał on o nim wiele i miał on swoje poglądy, niezbyt uporządkowane, nie zawsze uzasadnione, ale często uderzająco trafne. Rzucił mu szereg myśli, czasami świetnych, które tylko wymagały należytego rozwinięcia, metodycznego opracowania i gruntownego uzasadnienia.

I myślał sobie, że w Polsce można czasami znaleźć to, czego się nie znajdzie na Zachodzie. Spotyka się tu ludzi, którzy w porównaniu z ludźmi na Zachodzie są, jak książki źle opracowane, nie wykończone należycie, ale pchle myśli niepospolitych, w porównaniu z dziełami poprawnymi, wykończonymi według z góry powziętego planu, ale zawierającymi mało nowego. Wszak i książka Rybarzewski to bardzo ciekawa książka. Tylko czytelnik zachodni pewnie by się na nim nie poznał. Jeszcze mniej poznałby się na Grzybowskim.

Te refleksje coraz bardziej oddalały duszę Twardowskiego od Zachodu, a przywiązywały ją do Polski. Polska zaś coraz mniej wydawała mu się ogonem Zachodu, jego słabym wykoślawionym odbiciem, a coraz więcej czymś swoistym, zdolnym stać na własnych nogach, zdolnym coś dać Zachodowi, coś niepośledniej wartości. Tylko ona sama jeszcze tego nie rozumie i nie ma w tym kierunku ambicji.

Pod koniec rozmowy Grzybowski, skręcając swoim zwyczajem w bok od dyskutowanego przedmiotu, powiedział Twardowskiemu:

- Najważniejsze ze wszystkiego jest to, że pan nie jest tak skrajnie osobisty, jak się pan wydaje. Przekonuję się, że wychowanie zachodnie zrobiło pana mocniejszym człowiekiem, niżby pan był, gdyby się wychowywał w Polsce; ale nie zabiło w panu tego, co jest naszą wyższością nad ludźmi zachodnimi. Pan ma mocne instynkty, wiążące pana z narodem; siedzi w panu porządny Polak. I widzę, że pan zaczyna wysoko cenić te instynkty w sobie i w innych. To najważniejsze: już nie boje się pańskiego wpływu na moich przyjaciół.

- A dotychczas pan go się bał? - zapytał z uśmiechem Twardowski.

- Tak. Nie wiem, czy będę żył jeszcze miesiąc. czy parę miesięcy, czy rok. Na więcej liczyć bodaj nie mogę. Najwięcej ze wszystkiego obchodzą mnie ludzie, którzy po mnie zostaną. Przyglądam się wybitniejszym, tym, którzy będą innych za sobą prowadzili. Co oni przedstawiają? Staram się ocenić ich energie, ich dążenia polityczne, ich idee ogólne; ale najwięcej maże obchodzi ich oblicze moralne. Najważniejsze jest to, czy posiadają tę zanikającą na Zachodzie, a pod wpływem Zachodu rozkładającą się u nas zdolność przystępowania do sprawy publicznej bezinteresownie, nie uzależniając jej od swych celów osobistych. Dopiero co powiedzieliśmy sobie, skąd się ta zdolność rodzi i co ja niszczy, i zgodziliśmy się w naszych poglądach.

Zamyślił się chwilę, po czym zaczął mówić głosem podniesionym jakby pobudzonym gniewem;

- Człowiek zachodni, gdy zatracą tę zdolność, gdy zaczyna się kierować wyłącznie swoimi celami osobistymi, swoim egoizmem, ma na ratunek swoją mocną indywidualność, swój wyrobiony charakter, a obok tego starą, tradycyjną dyscyplinę,

utrwalone nałogi moralne, mocne poczucie prawa, wreszcie szereg instytucji, trzymających go w korbach. Jako egoista jest skutkiem tego bardzo często egoistą poprawnym. Polak zaś, który go naśladowe, przy swojej słabej indywidualności, przy niewyrobnym charakterze, przy chwiejności naszych dobrych nałogów, przy słabym poczuciu prawa, przy braku instytucji, mających w społeczeństwie mocne korzenie - gdy się rządzi bezwzględny egoizmem, osobistymi wyłączny celami, staje się pospolita świnią. Tak, panie, świnią - wszelkie inne określenie będzie nieściśle.

Używszy tego mocnego wyrazu, jakby wylądował gniew i głosem już spokojny dodał:

- Dla nas jedyny ratunek mieć na czele naszego życia jak najwięcej ludzi z mocnymi instynktami, wiążącymi człowieka z ojczyzną i nakazującymi jej służyć bezinteresownie, poświęcać dla niej cele osobiste, gdy sprawa tego wymaga; ludzi, którzy posiadają to, cośmy nazwali w naszej rozmowie nieosobistym stosunkiem do sprawy publicznej, do spraw narodu. Dziś upewniłem się, że pan takich ludzi będzie szukał i swoim wpływem będzie ich wyrabiał. Ze wszystkiego, o czym mówiliśmy, to dla mnie najważniejsze.

Wyszedłszy od Grzybowski, Twardowski stwierdził, że zdobył coś nie tylko do swojej książki.

Rozdział XXI

Jedyny naród, z którym można pracować i robić interesy, to Anglicy –rzekł pan Czarnkowski, podnosząc oczy od gazety.

Audytoryum, do którego to zdanie było zwrócone, składało się z pani Czarnkowskiej i panny Wandy. Pili we troje kawę, przeglądając listy i gazety. Pierwsze śniadanie było chwilą, w której pan Czarnkowski najwięcej się udzielał żonie i córce. Resztę dnia zabierały mu interesy, życie towarzyskie i klub, inaczej bridge lub pikiet.

Wrócił przed paru dniami z Pareza: miał świeże wrażenia zagraniczne. Którymi się chętnie dzielił z otoczeniem, i było sporo nowych plotek miejscowych. Których chętnie słuchał.

Żona i córka zauważyły, że jest jakiś przyjemnie podniecony i rozmowniejszy niż zwykle.

Rozwijał dalej wygłoszony przed chwilą pogląd:

- Nic się na nich nie odbiła wielka wojna, której skutki tak wszyscy odczuwamy. Zawsze spokojni, solidni; w prowadzeniu interesów nie widać u nich tej nerwowej spekulacji, która po wojnie zapanowała wszędzie. Toteż interesy u nich idą tak, jakby nic wielkiego w świecie się nie stało. Niechętnie dopuszczają do nich cudzoziemców, ale temu dziwić się nie można.

- Ja myślę, tatku, że tam są rozmaici ludzie, lepsi i gorsi, i pewnie nie wszystkie interesy tam dobrze idą – odezwała się panna Wanda, chcąc okazać swoje zainteresowanie.

- Pewnie, moje dziecko. Trzeba też umieć rozróżniać i trafiać na właściwych ludzi. To nie jest trudno, zwłaszcza gdy się ma stosunki.

Pani Czarnkowska milczała. Wiedziała, że mąż jej ma słabość do interesów, że robił ich wiele i wszystkie były świetne. Tylko na każdym okazywała się w końcu jakaś nieprzewidziana skaza, która psuła wszystko, skutkiem czego zawsze ponosił straty. Niewiele ją to obchodziło. Przez cały czas pożycia z Czarnkowskim nie zdołała się nim bliżej zainteresować i sprawy jego traktowała apatycznie. Swoje obowiązki

spełniała sumiennie, prowadziła dom umiejętnie w granicach wyznaczonego budżetu, w resztę zaś się nie wtrącała. Miałaby do tego prawo, bo Czarnkowski operował i jej posagiem, losy wszakże swojej osobistej fortuny traktowała z dziwną obojętnością; wszystko jedno, czy będzie trochę więcej, czy trochę mniej - byle dożyć do końca. Domyślała się, że i teraz przedsiębiorczy małżonek musiał zrobić jakiś świetny interes, pewnie z Anglikami, kiedy ich tak chwali. Wołałaby, żeby jej pieniądze były w rekach Twardowskiego, ale teraz właśnie Czarnkowski był jej tak obcy, tak daleki, że nie mogłaby się zdobyć na mówienie z nim o jego sprawach. Myśl jej była zajęta tym, co robi Twardowski, którego już zbyt długo nie widziała.

Czarnkowski, jakby naprowadzony przez nią, naraz zmienił przedmiot rozmowy:

- Ale nic mi żeście nie mówiły, że ten Twardowski znikł nagle z horyzontu. Błysnął jak meteor, zwrócił na siebie uwagę wszystkich, i już go nie ma. Mówiono mi w klubie, że nigdzie nie bywa, nikt go nie widuje..

- Salony go nudzą i szuka poważniejszych ludzi - rzekła panna Wanda tonem rzucającym wyzwanie.

Czarnkowski się obraził.

- Głupstwa pleciesz Wandeczko - odrzekł, ubierając się w powagę ojcowską.

Pani Czarnkowska, aby przerwać niemile zapowiadającą się dyskusję między ojcem i córką, zabrała głos:

- Jakże on ma bywać w towarzystwie, kiedy jedni szerzą o nim obrzydliwe plotki, a inni im dają wiarę. Szanujący się człowiek musi się odwracać z pogardą od takiego towarzystwa.

- Mówisz tak, jakby to wszystko, co się o nim słyszy, było nieprawdą.

- Bo tak jest - odparła z niezwykłą stanowczością spokojna i obojętna zazwyczaj kobieta. - Nie pierwszy to szlachetny człowiek, który pada ofiarą nikczemnych oszczerstw.

Twarz Czarnkowskiego wyraziła przykre zdziwienie.

- Moja Zosiu - rzekł - nie ma nigdy dymu bez ognia. Dlaczego o mnie nie ośmieli się nikt czegoś uwłaczającego powiedzieć?..

- Bo tatko z nikim nie jest w wojnie i nikomu się nie naraził - wtrąciła Wanda. -- Twardowski to mocny człowiek!..

Czarnkowski znów się obraził. Rodzona córka widocznie uważa go za safandulę.

- Lepiej ostrożnie - rzekł - z takimi mocnymi ludźmi. Ktoś mi mówił, że widział go na ulicy we wspaniałym samochodzie. "Mocny człowiek" widocznie jest zajęty puszczaniem swego mizernego spadeczku po stryju. Przyznam się, że zaraz przy pierwszym spotkaniu nie wywarł on na mnie dobrego wrażenia. I bardzo się cieszę, że przestał bywać w towarzystwie. Wolę, żebyście go nie spotykały.

- U nas nie przestał bywać - strzeła Wandeczka.

Czarnkowski podskoczył na krześle. Już miał coś odpalić córce, gdy pani Czarnkowska odezwała się znów spokojnie, ale stanowczo:

- Pan Zbigniew Twardowski jest poważnym i szlachetnym człowiekiem, a przy tym bardzo dobrze wychowanym. Chociaż więc nie przychodzi na nasze czwartki, prosiłam go, żeby o nas nie zapomniał i zapewniłam, że zawsze będzie mile widziany. Dziś nawet myślę do niego napisać, bo dawno go już nie widziałam. Chce go widywać często; jeżeli go nie lubisz, nie wymagam od ciebie, żebyś go spotykał.

Zdetonowany tą stanowczością Czarnkowski odparł kwaśno:

- Jak chcesz. moja Zosiu. Pamiętaj wszakże, żebyś tego nie żałowała

Wanda chciała coś jeszcze powiedzieć, ale pani Czarnkowska dała jej znak nakazujący milczenie.

Gdy Czarnkowski zostawił je same w jadalnym pokoju, rzekła do przybranej córki:

- Wiesz. Wandeczko, że ojca niełatwo przekonać. Jest widocznie pod wpływem nieprzyjaciół pana Zbigniewa. To trudno, my go nie przerobimy. Ale tym bardziej trzeba, żebyśmy okazywały przyjaźń Twardowskiemu. Zaraz do niego napiszę z prośbą, żeby przyszedł.

- Mamusia zawsze ma słuszność - rzekła pokornie Wandeczka, uradowana nadzieją zobaczenia swego władcy, jak go od ostatniej rozmowy nazywała po cichu.

Przy drugim śniadaniu, na którym ojca nie było, dowiedziała się od matki, że Twardowski przyjdzie o czwartej.

- Wy tam macie oboje jakieś konszachty - rzekła, grożąc matce palcem na nosie - i na pewno chcesz z nim rozmawiać w cztery oczy. Ale i ja chce z nim pomówić, Czy powiesz mu, żeby przed wyjściem zobaczył się ze mną?

- Dobrze. kochanie. Tylko nie zawracaj mu znowu głowy, on ma teraz o czym myśleć.

- Czym bym mu mogła głowę zawrócić! - odparła Wandeczka nieszczercze.

Miała poczucie, że już coś zrobiła w tym względzie.

Pani Czarnkowska nie była pozbawiona intuicji kobiecej. Atoli tak była opanowana myślą o Zbigniewie Twardowskim, jako o pośle od Alfreda, że nie zwracała wcale uwagi na jego stosunek do Wandy i nie zadawała sobie sprawy z tego, co się dzieje w duszy przybranej córki.

Twardowski przyszedł o oznaczonej godzinie: przyjęła go w swym buduarze, żeby im nikt nie przeszkadzał. Wypytywała długo o jego sprawy i zajęcia, po czym rzekła:

- Chcę pana ostrzec, że męża mojego również usposobiono przeciw panu.

- Nie dziwie się wcale, że ulega wpływowi zacnego mecenasa. Gdyby nie Culmer, nie byłby mężem pani.

- Nie ma za co być mu Wdzięcznym. Jeżeli mogłam dać szczęście, to nie jemu. Dziś przemówiliśmy się z nim o pana, ja i Wandeczka. Dziewczyna ogromnie wierzy w pana i ma dla pana wielką przyjaźń. Kobięca intuicja często więcej warta, niż męska logika. Powiedziałyśmy mu, że nam bardzo zależy na pańskiej przyjaźni, że on może pana nie spotykać, ale pan nas będzie często odwiedzał. Prawda, że tak będzie? Przecież jego stosunek do pana nie może być przeszkodą w naszej przyjaźni.

Twardowski upewnił ją, że nic nie będzie sobie robił z pana Czarnkowskiego. Przy pożegnaniu powiedziała mu, że Wandeczka chce go koniecznie zobaczyć.

- Wybaczcie mi - dodała - że towarzyszyć wam nie będę. Jestem bardzo zmęczona. Nie, nie, to nie pan, to moje myśli mnie męczą.

Służący, który miał go zaanonsować pannie Wandzie, zawiadomił, że paniuszka czeka w salonie.

Twardowski, udając się do pani Czarnkowskiej, był pewien, że zobaczy Wandę, której nie widział blisko od dwóch tygodni, od owej pamiętnej rozmowy. Nie starał się o to, choć myślał ciągle o niej i pragnął jej widoku. Nie miał o czym z nią mówić, bo tego, co chciał jej powiedzieć, powiedzieć nie mógł. Rozumiał, że w położeniu, w którym się znalazł, nie wolno mu było zrobić kroku naprzód w stosunku do dziewczyny. Ona musi do niego należeć, ale trzeba czekać. Trzeba najpierw rozegrać walkę i zwyciężyć. Teraz, gdy miał ją za chwilę zobaczyć, czuł strach, że zachowa się niemądrze.

I panna Wanda trochę się bała tego spotkania, pragnąc go bardzo zarazem. Od

owej rozmowy niejedną chwilę spędziła w fotelu, w którym ja wtedy zostawił. Zamykała oczy i przeżywała w wyobraźni moment, kiedy czuła, że ją wola opuszcza, że jest całkowicie w jego mocy. Nie wiedziała dlaczego, ale i teraz czekała na niego w tym samym fotelu. Postanowiła przywitać go jak najswobodniej i jak najbardziej towarzysko zapytać go, dlaczego o ich domu zapomina...

Gdy ujrzała go wchodzącego, postanowienia nie wykonała. Chciała powstać z fotela i pobiec na jego spotkanie, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Czekala, aż podszedł do niej, i wyciągnęła rękę, którą on pocałował.

- Dlaczego pan nie przyszedł? - zapytała cichym głosem.

Nie miał na to odpowiedzi, więc rzekł:

- Za to dużo myślałem o pani.

Popatrzyła mu w oczy.

- Czy powie mi pan, jak pan myślał?

- Powiem, ale jeszcze nie teraz...

Zapanowało milczenie. Ani on, ani ona nie wiedzieli, co powiedzieć. Wreszcie Twardowski odezwał się:

- Panno Wando, tu, w tym miejscu, ostatnim razem rozmawialiśmy i... zrozumieliśmy się. Najlepiej w chwili, kiedy milczeliśmy, prawda?...Będziemy milczeli jeszcze przez pewien czas. Ja muszę przedtem przeprowadzić walkę i zwyciężyć. Pani mi obiecała towarzyszyć w tej walce. Będziemy przez ten czas dobrymi towarzyszami. Chce pani?..

Dziewczyna się ożywiła, poczuła w sobie siłę.

- Ach, jaki pan mądry! - zawołała. - Teraz już wiem wszystko, wiem, co mam robić, Zamykamy tamten rozdział i piszemy inny. Jakie to proste i jasne. Pocałowałabym pana za to... ale to należy do następnego rozdziału.

Spostrzegła się, że za wiele powiedziała, i umilkła, zarumieniona.

Twardowski, jakby ostatnich słów nie słyszał, rzekł spokojnie:

- Komplikuje nam sprawę to, że ojciec pani, zdaje się, należy do obozu moich nieprzyjaciół.

Posmutniała.

- Tak, tatko lubi słuchać plotek, a już wierzy we wszystko, co mu ten wstrętny Culmer powie. Ale my sobie z nim poradzimy.

Twardowski, wspominając o panu Czarnkowskim, myślał o tym, że nieprzyjaźń pana domu psuje swobodę jego stosunków z paniami. Teraz spostrzegł, że Wanda myśli o ojcu, jako o możliwej przeszkodzie na później, w sprawach następnego rozdziału, jak to nazwała. To nieporozumienie nie zmartwiło go wcale.

Dziewczyna wypytywała go uparcie o to, jak będzie walczył ze swoimi wrogami, czy walka ta długo będzie trwała i czy ona nie mogłaby się w niej przydać do czegoś ważniejszego, niż kłócenie się z oszczercami salonowymi. Widoczne było, że całą sprawę Twardowskiego traktuje już jako swoją.

Tak Twardowski wrócił do swobodnych przyjacielskich stosunków z dziewczyną, dla której miał dużo więcej niż przyjaźń. Czy na długo?

Tymczasem organizacja ataku na Culmera i jego bandę posuwała się szybko naprzód. Padły pierwsze strzały w prasie.

Grzegorz co dzień składał raporty na podstawie doniesień paru ludzi, których sobie znalazł. Były one różnej wartości. Często przychodziły rzeczy błahe, aż rozśmieszające, ale całość składała się na wcale dokładny obraz życia czcigodnego

mecenasa i jego stosunków. Twardowski sformował sobie już wcale długą listę osób, z którymi Culmer żył bliżej, i dostarczał cennych nieraz informacji towarzyszom.

Z doniesień ludzi Grzegorza okazało się, że i życie prywatne białogrzywego patriarchy miało ciekawe tajemnice. Był to *un vicieux* (polskiego wyrazu Twardowski nie mógł znaleźć), który z paru towarzyszami uprawiał zabawy, uwzględniane nawet przez kodeks kamy. Nie zdziwiło to Twardowskiego. Znał on w szerokim świecie ludzi, cieszących się powagą i rozgłosem, którzy mieli podobną i równie dobrze zakonspirowaną stronę swojego życia...

Culmer rychło poczuł, że nieprzyjaciel przeszedł do ataku.

Profesor Topoliński skarżył mu się, że na uniwersytecie praca już nie idzie tak spokojnie, jak dotychczas. Napotyka ona na coraz wyraźniej zorganizowany opór. Nie wszystko już się udaje, a ludzie, dotychczas poważni i mający posłuch, zaczynają się spotykać z ostrą krytyką, lekceważeniem i szyderstwem.

W prasie zjawily się napaści na grabarzy, co gorsza, nie ogólnikowe, ale oparte na faktach i znajomości rzeczy. To, co uważano dotychczas za dobrze chowaną tajemnicę, przeciwnicy zaczęli bez ceremonii dyskutować publicznie. Widać w tym plan: zaczęto od rzeczy mniejszych i stopniowo przechodzi się do coraz ważniejszych, mających coraz większe znaczenie. Dokąd to może zająć, jeżeli się kampanii nie położy kresu? Ale jak to zrobić?..

Jego samego, Culmera, o którym mówiono dotychczas ze czcią i uznaniem, zaczynają zaczepiać. Robią to na razie ostrożnie, zwykle bez wymienienia nazwiska, chociaż dość przejrzyście. Ale i tu czuć stopniowe wzmacnianie ataku. Już go znajomi zapytują, co to znaczy, przy nim się oburzają, ale znał ich dobrze: pewnie zaczynają sobie mówić, że nie ma dymu bez ognia...

Zaczął go strach ogarniać. Bał się o swoje stanowisko nie tylko w miejscowym społeczeństwie, ale i u swoich władz za granicą.

Stamtąd przysłało mu numer katolickiego pisma francuskiego, w którym zjawia się bardzo zjadliwa korespondencja o grabarzach w Polsce. Niebawem przyszedł list, zapowiadający w krótkim czasie przyjazd do Warszawy bardzo znacznej osobistości, widocznie na inspekcję. Czuł z tego listu, że tam zaufanie do niego nieco się zachwiało. Tego się bał najwięcej.

Za tą całą robotą stoi Twardowski - nie ma żadnej wątpliwości. I niebezpieczeństwo będzie coraz większe, dopóki ten człowiek żyje lub przynajmniej siedzi w Polsce. Na jak długo wystarczy mu energii i środków?... Pocieszał się, że jedno i drugie wkrótce się wyczerpie. Ale to go nie uspokoiło.

Siedział sam, trapiąc się tym wszystkim, gdy mu Jakub zaanonsował doktora Białostockiego. Był to jeden z najbliższych jego przyjaciół.

Wszedł mężczyzna, równie jak on poważny, siwowłosy i siwobrody, z widoczną troską rozlaną na obliczu.

- Mój Henryku - rzekł na wstępie - zdaje się, że dziś wieczorem nie będziemy się mogli spotkać.

- Dlaczego? Masz jakąś przeszkodę?

- Nie ja, ale my wszyscy.

Culmer się zaniepokoił.

- Co się stało?

Dziś rano była u mnie Zysowa. Baba ogromnie wystraszona. Powiada, że naprowadziliśmy na nią policję.

- Co jej się przywidziało?

- Powiada, że jacyś ludzie włóczą się przed domem i patrzą w jej okna. Od stróża się dowiedziała, że oni tam za nami przyszli. Wynikało by z tego, że jesteśmy

śledzeni. Stróżowi trzeba wierzyć - jest przez nią dobrze wynagradzany. Mówi on, że jeden z tych szpiegów zaprzyjaźnił się z pokojówką z mieszkania naprzeciwko i że ona im pomaga.

Culmer się zamyślił.

- To nie jest policja - rzekł po chwili milczenia. - Od pewnego czasu mam wrażenie, że jestem szpiegowany, że ktoś stara się zdobywać wiadomości o moim życiu prywatnym. To musi być w związku z ostatnimi napaściami w prasie.

Białostocki przeraził się. .

- Czyżby nam chcieli zrobić skandal?..

- Wszystko możliwe u tych łajdaków. Oni chcą podkopać naszą pozycję, zniszczyć nas zupełnie. Czuje w tym rękę Twardowskiego. Nie przypuszczałem, że to bydle umie być takie szkodliwe.

- Czy nie można by go unieszkodliwić?

- Robie, co mogę. Popsuliśmy mu reputację w towarzystwie - poszukał innych ludzi i stał się jeszcze niebezpieczniejszy. Liczyłem, że mu przeszkodzi brak pieniędzy. Dziś dowiedziałem się z banku, że drugi raz już otrzymał sporą sumę z zagranicy. Kto go popiera? Czy to nie jest jakaś akcja międzynarodowa? Będziemy to wkrótce wiedzieli.

- A czy nie ma sposobu załatwienia się z nim radykalniej?

- Z tymi sposobami jest coraz gorzej. Coraz trudniej o pewnych ludzi. Łatwo być zdrazonym, a tego byś przecież nie chciał?...

Białostocki się wzdrygnął.

- Myślę - rzekł - że z Zysowa trzeba będzie zerwać dopóki rzecz się nie wyjaśni. - Czy nie moglibyśmy się jakoś obejść bez niej?

- Nie widzę jak.

- Niech diabli wezmą!

Mecenas był wystraszony. Ale nawet w takich chwilach niełatwo zrezygnował z rozkoszy życia. Tak był pewny tego przyjemnego wieczoru...

Wkrótce po wyjściu doktora wpadła Hela.

- Stęskniłam się za tobą - zawołała. - Tak dawno cię nie widziałam. Jak będzie z moimi brylantami?

- Czy ja mam teraz czas myśleć o twoich brylantach?

- Nie trzeba myśleć, wystarczy zapłacić.

- Zapłacić! Czy ja wiem, co ja jutro będę musiał zapłacić?

- Robisz znów jakiś duży interes?

- Żaden interes.

- To co masz płacić? Ty przecież nigdy darmo nie płacisz.

- Dotychczas nie, ale teraz kto wie? W mojej pozycji lepiej grubo zapłacić, niż mieć gruby...

- Skandal - dodała domyślna córka.

Myślał głośno i za późno ugryzł się w język.

- Może się coś popsuło z twoimi aniołkami? - zapytała Hela.

- Z jakimi aniołkami?

- No. nie udawaj przede mną. Na twoim miejscu wołałabym dojrzały owoc: więcej ma smaku i bezpieczniejszy. Zresztą, każdy niech się bawi, jak mu się podoba. Więc masz kłopoty?

- Więcej, niż potrzeba - rzekł Culmer z goryczą.

- A cóż się dzieje z Twardowskim? Nie widać go wcale, nigdzie nie bywa, zaczyna mi go brakować. Myślałam, że urażony w swej męskiej ambicji zażąda ode mnie zadośćuczynienia... które bym mu może dała.

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Helu! - krzyknął Culmer - ty sobie nie żartuj! To niebezpieczny człowiek. Mnie teraz zaczynają szczuć, prześladować, psuć mi robotę, śledzić moje życie prywatne - jestem pewien, że za tym wszystkim on stoi. To niezwykle łajdak: mści się jak Żyd.

- Od początku mówiłam, że on nie taki, jak inni, że to niebezpieczny człowiek. Nie chciałeś wierzyć. Licz się więcej z moim zdaniem - ja mam lepszego nosa do ludzi.

Po wyjściu córki mecenas zapadł w zadumę.

Hela miała słusność: on nie taki, jak inni. Walka z nim to, zdaje się, walka na życie i śmierć. Czyja śmierć?.. Mecenasa mrowie przebiegło po skórze. Myślał długo jeszcze. Wreszcie rzekł głośno do siebie:

- Dobrze. Ale jak to zrobić?...

Rozdział XXII

Twardowski zajechał przed bank, w którym miał do odebrania pieniądze. Gdy wysiadał z samochodu, wpadł na niego wychodzący z banku profesor Kozieniecki.

- Wie pan, co się stało? Czarnkowski jest zrujnowany. Stracił cały majątek.

- Skąd pan to wie? - zapytał Twardowski. - To może być jedna z wielu plotek, wyspanych z palca.

- Niestety, nie - odrzekł profesor. - Przed chwilą powiedział mi to dyrektor banku.

- Jakże to się stało?

- Nic więcej nie chciał mi powiedzieć, jak tylko to, "Że dziś rano przyszedł telegram, z którego Czarnkowski się dowiedział, iż nie posiada ani grosza.

Twardowski jakoś nie podzielał smutku Kozienieckiego i prawie obojętnie słuchał, gdy ten monologował.

- Jaka szkoda tych ludzi. Tacy mili, tacy kulturalni. I co ta biedna dziewczyna dziewczyna zrobi?

- Jaka dziewczyna? - zapytał Twardowski.

- A no panna Czarnkowska.

- Jak to co zrobi?

- Teraz została bez majątku.

-Więc co?

- Pan myśli, że to tak łatwo pannie bez majątku wyjść za mąż? - i to pannie z tej sfery, przyzwyczajonej do takiej wysokiej stopy życia?.

- Z reguły ma pan słusność! No, do widzenia. Mnie pilno.

Wrócił do swego samochodu, do banku nie poszedł, tylko kazał jechać do państwa Czarnkowskich.

- Pana nie ma w domu - rzekł mu służący w drzwiach - a pani jest cierpiąca.

- Panienka jest? Proszę zapytać, czy mnie przyjmie.

Służący wrócił z wiadomością, że panienka prosi.

Panna Wanda była blada, miała zaczerwienione oczy, ale Twardowski w jej postawie i wyrazie twarzy odczuł spokój i nawet pewność siebie.

- Zastał mnie pan, obmyślając plany na przyszłość...

Twardowski milczał. Oczami tylko pytał, jakie plany.

- Trzeba wziąć się do pracy i zacząć zarabiać na chleb.

- Pani?...

- Pan myśli, że nie będę umiała? Zobacz pan. Widać było, że zrobiła już jakieś postanowienie. Twardowski patrzył na nią zachwycony. Ma charakter, myślał i to nie byle jaki.

- Więc to prawda? - zapytał.

- Tak. Jesteśmy zrujnowani.

- Jak to się stało?

- Tatko ulokował cały majątek w udziałach kopalni złota, i to przedsiębiorstwo zbankrutowało.

Twardowski zdrętwiał.

- Kopalni złota?.. - zapytał. - W Afryce? ..Tugela River Gold Co?

- Pan to wie..

- Teraz wiem jeszcze jedno, że jestem największym osłem na świecie.

Dziewczyna patrzyła na niego zdumiona.

- Mogłem was od tego uratować...

- Nic nie rozumiem - rzekła.

- Później pani wytłumaczę. Pan Czarnkowski niedawno sprzedał swój majątek ziemski?

-Tak.

- Culmerowi?

-Tak.

Który kupił go dla syna?

- I to pan wie?

- I całą gotówkę włożył w tę kopalnię złota.

-Tak.

- Tymczasem okazało się, że tam było wszystko, był zarząd, była kopalnia tylko złota nie było. Kompania zawiesiła wypłaty, prezes jej i dyrektorzy ulotnili się, i wszystkie wkłady przepadły.

- Widzę, że pan o wszystkim wie dokładnie.

- Wiem, co było, i trochę tego, co będzie.

- Co będzie?

- Chce pani, żebym powiedział?

- Niech pan powie.

- Młody Culmer zaproponuje pani powrót do majątku rodzinnego.

- Nie rozumiem.

- Oświadczy się o rękę pani.

Skoczyła jak oparzona.

- Co, ten Żyd? Jak pan śmiał to powiedzieć!

Twardowski wziął jej rękę i pocałował. Gniew nagle znikł z jej twarzy.

- Panno Wando - rzekł - nigdy bym sobie na taki żart nie pozwolił. Ja wiem, rozumie pani? - wiem, że on to robi, jeżeli... jeżeli nie znajdzie się przedtem w więzieniu. Lepiej, żeby pani była na to przygotowana.

- Skądże pan to wszystko wie?

- Tymczasem jeszcze pani nie powiem. Ale wkrótce dowie się pani wszystkiego.

- Wie pan, że on raz był u nas: wstrętny Żyd, pozujący na Anglika.

- Tak. Tymczasem mamy ważniejsze rzeczy przed sobą. Mam nadzieję, że uda się majątek państwa odebrać.

- Nie rozumiem znowu. Komu pan odbierze?

- Złodziejowi. On został ukradziony i ja go odbiorę.

- Wie pan, w głowie mi się kreci. To, co słyszę, powinno być niemożliwe, niepraw- dopodobne. A jednak jakiś głos w głębi mej duszy nakazuje mi wierzyć we wszystko, co pan mówi.

- To dobry głos, niech pani idzie za nim - odrzekł z uśmiechem. - Dziś będę musiał pożegnać panią na dłużej. Wyjadę na noc do Londynu. Nie ma ani chwili do stracenia.

Na twarzy panny Czarnkowskiej odmalowało się przerażenie.

- Muszę, tłumaczył jej - zdobyć materiał do walki ze złodziejem.

Nie śmiała pytać o nic. Ale widział, że chciałaby wiedzieć coś więcej.

- Powiem pani - rzekł - tylko to, że tym złodziejem jest stary Culmer, że obrabowanie was z majątku od dawna uplanował i z przebiegłością niktzemnika wykonał...

- A tатko tak w niego wierzył

- W tym właśnie leży źródło całej katastrofy. Do planu jego należy zrobienie pani swoją synową. Proszę mi wybaczyć, że się jeszcze raz z tym wyrwałem...

- Nie, już się nie gniewam. Lepiej, że wiem o tym z góry.

Twardowski wstał. .

- Teraz panią pożegniam. Trzeba się spieszyć; mam jeszcze dużo do załatwienia przed wyjazdem.

Dźwignęła się niechętnie z krzesła i wyciągnęła do niego rękę. Twardowski miał wrażenie, że dziewczyna boi się tego pożegnania.

- Kiedy pan wróci?

- Nie wiem. Ani dnia dłużej nie zabawię, niż będzie potrzeba. Myślę, że z tydzień, może trochę więcej...

Nagle uderzył się ręką w czoło.

- Ach, jakież że mnie głupiec! Byłbym zapomniał o najważniejszej na razie rzeczy. Siadajmy.

- Panno Wando - zapytał tonem prośby w głosie - czy pani gotowa jest pomóc mi w tej sprawie?

- Zrobię wszystko, czego pan zażąda.

- Bardzo by mi popsuło moje zamiary, gdyby ojciec pani, znalazłszy się teraz w trudnym położeniu, popełnił jakiś błąd w stosunku do Culmera. Teraz czekają was bardzo przykre chwile. Wieść o ruinie ojca pani rozejdzie się po mieście jak błyskawica. W tej chwili na pewno już dziesiątki ludzi opowiadają sobie o tym. Kredyt ojca pani już jest przecięty, a od jutra zaczną się zgłaszać z rachunkami wszyscy, którym się cokolwiek należy. O ile pan Czarnkowski nie ma zapasu gotówki...

- Wiem, że go nie ma.

- ... sytuacja będzie trudna.

- Na to nie ma rady.

- Jest, o ile zechce mi pani pomóc.

- Ja? jakim sposobem?

- Nie chce mówić o tym z ojcem pani, nie mogę z panią Czarnkowska, tym bardziej, że jest cierpiącą. Ale na szczęście jest pani i razem z panią możemy wszystko zrobić.

- Co? nic nie mogę zrozumieć.

- Zanim odbierzemy ukradziony majątek, państwu będzie potrzebna taka, czy inna suma pieniędzy na płacenie rachunków itp. Pani pozwoli, że zostawię tę sumę w rekach pani..

- Skąd ją pan weźmie?

- Z banku.

- Jakim sposobem?
- Tym, że mam je właśnie dziś do odebrania. Przyszły dla mnie z Paryża
Przestraszyła się.
- Dziękuję panu serdecznie, ale na to się nie zgodzę. Pieniądze pańskie nie są
na załatwianie rachunków państwa Czarnkowskich.
- Ależ to będzie tylko pożyczka.
- Nie zaciąga się długów, gdy się nie ma z czego zwrócić.
- Przecież pani powiedziała, że wierzy w to, co mówię, a ja powiadam, majątek
odbierzemy. .
- Ja wierzę panu, wierzę w pana, ale pieniędzy od pana nie wezmę. Przecież
jesteśmy dla siebie nawzajem obcyymi ludźmi.
- Obcy ludzie!.. Jak pani to powiedziała!
- Panie Zbigniewie, ja nie chciałam nic przykrego powiedzieć - mnie samej jest
przykro. Ale, niech pan powie, czyż tak nie jest?... Jestem panu bardzo wdzięczna za
pańską gotowość, ale jakże ja bym sama przed sobą wyglądała, gdybym to zrobiła?
Nie mówmy więcej o tym.
Twardowski zastanowił się... Wreszcie z decyzją rzekł:
- Przeciwnie, będziemy mówili.
Spojrzała na niego z wyrzutem.
- Pani powiedziała, że jesteśmy sobie obcy. Zmusza mnie pani do
powiedzenia rzeczy, którą odkładałem na później. Przed paru tygodniami
powiedziałem sobie, że zrobię wszystko, żeby się pani zgodziła zostać moją żoną;
jeżeli zaś pani się nie zgodzi, nie ożenię się nigdy.
Błada twarz dziewczyny pokryła się rumieńcem. Podniosła na niego oczy.
- Kiedy pan to sobie powiedział?
- Gdy się znalazłem na ulicy po owej rozmowie między nami.
- To dziwne..
- Co?
- W tej samej chwili mówiłam sobie, że mogę być tylko paniska żoną.
-Więc proszę panią o rękę.
-Tak nagle?
- Mówiłem pani, że chciałem to zrobić później, ale po tym, co w tej chwili
usłyszałem, nie myślę odkładać.
Wyciągnęła do niego rękę, która Zbigniew ucałował.
- Dzięki Bogu! - zawołał, jakby mu ciężar spadł z piersi. - Nie jesteśmy już
sobie obcy, prawda?..
Oszłomiona patrzyła na niego w milczeniu.
- Jest pani moja narzeczoną i będzie pani moja żoną. Bo przecież nie cofnie
mi pani słowa?..
-Nie.
- Wszystko tedy, co jest moje, do pani również należy. We wszystkim, co
czynię, mam prawo liczyć na pani współdziałanie. Otóż mówię w tej chwili do pani:
moja najdroższa - wolno mi, prawda?
Skinęła głową.
- Mówię tedy: moja najdroższa, wyjeżdżam do Londynu. i proszę cię, ażeby w
czasie mojej nieobecności płaciła rachunki państwa Czarnkowskich, bo to mi
potrzebne do pomyślnego przeprowadzenia akcji, mającej na celu uratowanie ich
majątku. Dlatego złożymy dziś w pewnym banku na twój rachunek kilkadziesiąt
tysięcy złotych.. Gdybym pozostał za granicą dłużej i konto się wyczerpało,

zawiadomisz mnie, a przyśle więcej, bo mam w Londynie pieniądze. Co pani na to odpowie?

- Odpowiem: mój najukochańszy, po pierwsze, nie jest rzeczą właściwą, żebyś, nie będąc jeszcze moim mężem, wnosił jut pieniądze na mój rachunek: po drugie, choć nie jestem jeszcze twoją żoną, mam prawo cię zapytać, co to za pieniądze. Przecież pan nie jest taki bogaty?

-Tu muszę poprosić o przebaczenie – odrzekł Twardowski. – Oszukiwałem wszystkich, a więc i panią. Mój stryj nic nie utracił ze swego znacznego majątku i zostawił mi wszystko. Tylko dla pewnych celów trzeba mi, żeby o moim majątku nie wiadano.

Panna Czarnkowska spłoszyła się.

- Mój Boże - zawołała -jak ja wyglądam! Dowiedziawszy się o ruinie ojca, o tym, że nic nie mam, oddaje rękę człowiekowi bogatemu, żeby ratować siebie i rodziców.

Twardowski się roześmiał.

- Nie chodzi o to, jak pani wygląda, tylko o to, jaka jest pani. Dwa tygodnie temu zdecydowała się pani zostać moją żoną. Wtedy pani nie wiedziała o moim majątku, a siebie uważała za bogatą. Zresztą pani nie jest biedna, bo majątek odbierzemy.

- Wie pan, co ja czuje teraz?

- Co?

- Że wszelki opór wobec pana, to próżna męka. Lepiej słuchać i robić, co pan każe.

-W tej chwili o to chodzi - nie mamy czasu do stracenia.

- Więc słucham.

- Jadę zaraz do banku po pieniądze. Za dwadzieścia minut wstąpię po panią i pojedziemy do innego banku, w którym otworzymy rachunek na imię pani.

- Będę gotowa.

Wracając z banku z pieniędzmi, ledwie zajechał przed dom Czarnkowskich, gdy z otwartych drzwi wybiegła Wanda i wskoczyła do jego samochodu, zanim zdołał wysiąść na jej spotkanie.

- Tak, .to rozumiem - rzekł, uśmiechając się do niej. - Z panią można coś zrobić.

- Więcej niż pan myśli. Nikt nie wie, jak ja umiem być posłuszną. Ale tylko temu, kto umie rozkazywać.

- Dyrektor banku, do którego jedziemy, jest moim przyjacielem. Nikt od niego się nie dowie, skąd pochodzą pieniądze na rachunki pani. Gdyby pani miała jakiś kłopot w mojej nieobecności, proszę się do niego zwrócić, Znajdzie radę i zrobi wszystko dla pani.

- Ojcu -mówił dalej - będzie pani musiała coś powiedzieć; im mniej, tym lepiej. Idzie mi o to, żeby Culmer niczego się nie domyślał, żeby czuł się bezpiecznym. Inaczej cały mój plan mógłby być popsuty.

- To nic nie powiem - nawet tego, że sobie znalazłam męża. Jakby to wiedział, wszystkiego by się domyślił.

- Całkiem słusznie. Ach, jaka pani mądra!

- Teraz znów nadzwyczajnie mądra. Pan chce, żebym całkiem zwariowała.

- Nie powiedziałem "nadzwyczajnie".

- Powiedział pan "ach", co na jedno wychodzi.

Stanęli przed bankiem. Po kwadransie wysili z niego. Twardowski z portfelem lżejszym o kilkadziesiąt tysięcy złotych, panna Czarnkowska z książeczka czekową.

- Bardzo mi się podobał ten dyrektor banku - rzekła w powrotnej drodze. – Pan go dawno zna?

- Od dziesięciu dni.

- I już jesteście tacy przyjaciele?

- Są warunki, w których przyjaźń zawiera się w skróconym tempie. Dzieje się to wtedy, gdy ludzie razem pracują dla wspólnego celu.

- Już rozumiem. Z tego wynika, że jest on trochę i moim przyjacielem.

- Niech pani o tym nie wątpi. Wracając do naszej sprawy, nie widzę jeszcze, jak pani sobie poradzi z ojcem podczas mojej nieobecności.

- W tym już moja głowa. Na to wystarczy moja mądrość, a raczej moja odwaga, gdy za mną ktoś mocny stoi. Spodziewam się, że pan z Londynu do mnie napisze.

- Zaraz po przyjeździe.

- Wobec tego żegnam się bez żadnych tkliwości.

Wyjął z kieszeni kartkę.

- Oto mój adres londyński. Gdyby się stało coś ważnego, niech mi pani zaraz telegrafuje.

Limuzyna stanęła przed domem Czarnkowskich.

Panna Wanda wyciągnęła rękę, która Twardowski pocałował, wyskoczyła na chodnik i wbiegła do domu.

Rzuciwszy adres szoferowi, Twardowski zapadł w zadumę. Tyle rzeczy stało się w ciągu godziny. Dowiedział się o ruinie Czarnkowskiego, znalazł sposób zadania silnego ciosu Culmerowi, postanowił dziś na noc jechać do Anglii w celu wmieszania się w sprawę *Tugela River Gold Co.*, wreszcie - co najważniejsze - został narzeczonym panny Czarnkowskiej. Szybkość istotnie nowoczesna.

Panna Wanda, wróciwszy do domu, zastanawiała się również nad tą zawrotną szybkością wypadków. Zapytywała siebie, dlaczego jej się w głowie nie kreci...

Po dłuższym zastanowieniu znalazła odpowiedź. Wyobraziła sobie, że jest na morzu: naokoło szaleje burza, ale ona się nie boi: ją niesie statek, który nie zatoni i wyładuje w bezpiecznym porcie.

Państwo Czarnkowscy siedzieli przy stole, przy którym pan zdążył już pani powiedzieć, że jej posąg utonął razem z majątkiem jego córki. Podnieśli głowy, gdy Wanda weszła, i że zdziwieniem patrzyli na jej pogodną, pewną siebie minę.

Gdy podeszła przywitać się z ojcem, ten wziął ją obiema dłońmi za głowę, pocałował w czoło i rzekł tragicznym głosem:

- Piękny ci los zgotowałem!

Znajdował się w stanie całkowitej prostracji. Nędza, zdeklasowanie, zniszczenie życia jedynemu dziecku, wreszcie - co go może najwięcej bolało - wystawienie na powszechne szyderstwo. On, który się uważał za głowę do interesów, stracił wszystko w tak skandalicznie głupi sposób...

- Niech tatko nie rozpacza - rzekła córka prawie wesoło - wszystko będzie jak najlepiej.

Czarnkowscy spojrzeli na Wandę, przerażeni jej dobrym humorem. Nigdy jej nie posądzali o taką lekkomyślność.

- Byłem u Culmera - rzekł Czarnkowski - nic jeszcze nie wiedział. Obiecał zasięgnąć natychmiast bliższych informacji, obawia się wszakże, iż sprawa jest beznadziejna.

On mnie ostrzegał: gdybym go był słuchał byłbym dziś tym, czym byłem. Mądry i zacny człowiek. Niestety, on się tak wyzbył gotówki na kupno Zbychowa i tyle ma kłopotów, że wątpi, czy mi będzie mógł coś poradzić, choć bardzo by pragnał.

- Tatu - odezwała się stanowczym głosem córka - niech mi tatko przyrzeknie, że więcej do tego Culmera nie pójdziesz.

Oboje państwo Czarnkowscy osłupieli. Pani patrzyła na Wandę, jakby szukała w niej czegoś, jakby wiedzona instynktem kobiecym, podejrzewała, że coś zaszło. On miał odruch, jakby chciał ją zburzyć, ale natychmiast spokorniał: czuł się wobec niej winowajca.

- Moje dziecko - rzekł łagodnie - łatwo ci mówić. Przecież muszę gdzieś iść, czegoś szukać. Jesteśmy bez grosza, a trzeba żyć i płacić to, co się ludziom należy. Na najbliższe dni nie ma, a mój kredyt już skończony.

- Na najbliższe tygodnie mamy - odparła Wanda. - Wystarczy, zanim się sprawa całkiem nie wyjaśni.

- Nie mamy nic.

- Ja mam.

Oboje państwo Czarnkowscy podskoczyli na krzeselkach.

- Ty? - krzyknęli unisono.

- Ja.

- Dziecko - rzekł ojciec - co ty możesz mieć.. Ty sobie nawet nie wyobrażasz, jakie są nasze wydatki.

- Jak tatko myśli, ile nam, oszczędnie licząc, może być potrzebne na najbliższe trzy tygodnie !...

- Nie wiem, ile jest niezapłaconych rachunków domowych.

- Na trzydzieści tysięcy z górą - wtrąciła pani.

- Aż tyle! - zawołał z rozpaczą. - A więc potrzeba nam najmniej czterdzieści tysięcy.

- Tyle mam, nawet trochę więcej.

- Wandeczko. Czyś ty oszalała? - zawołała pani Czarnkowska.

- Nie, jestem przy najzdrowszych zmysłach. Oto moja książeczka czekowa - na wszystko, co się należy, będę pisała czek.

- Skądże ty wzięłaś te pieniądze? - pytał ojciec. w którym nadzieja na parotygodniowy spokój walczyła z przerażeniem.

- Tatu. pozwól mi tymczasem nie odpowiadać na pytanie. Znasz mnie chyba dosyć, żeby wiedzieć, że ich nie ukradłam, ani nie doszłam do nich żadną nieuczciwą drogą. Dość, że pieniądze są i jesteśmy zabezpieczeni na parę tygodni. Jeżeli zaś będzie potrzeba, to i na dłużej.

Na twarzy pani Czarnkowskiej malowało się natężone myślenie. Widać było, że usiłuje rozwiązać jakąś zagadkę i że jej się to w żaden sposób nie udaje. Widać też było, że się zaczyna niecierpliwić, że chce jak najprędzej znaleźć- się sam na sam z przybraną córką.

- Więc obiecujesz tatku, że do Culmera więcej nic pójdziesz?.. Najlepiej siedzieć teraz w domu, udawać chorego, bo w tym położeniu nie jest chyba przyjemnością spotykać się z ludźmi.

- Dobrze. nie pójdę.

Dziewczyna aż skoczyła z radości.

-Ale skąd ty możesz mieć te pieniądze?

- Dowiesz się potem i mam nadzieję, że się nie zmartwisz bardzo.

Po śniadaniu pani zawiadomiła, że idzie spocząć i zaciągnęła ze sobą Wandę. Jeszcze nie zdążyły usiąść, gdy zapytała:

-Wandziu. co to za pieniądze?

- Powiem ci, ale tylko tobie, w tajemnicy. Nie powiesz tatkowi?

- Nie powiem.
- Przysięgasz?
- Przysięgam - odrzekła z uśmiechem.

Wanda rzuciła się jej na szyję i zaczęła ją okrywać pocałunkami. Nareszcie pani Czarnkowska oswobodziła się.

- Mówże w końcu.
- To są pieniądze mojego narzeczonego.
- Co?
- Mojego narzeczonego.
- Ty masz narzeczonego?
- Mam.
- Któż to jest?
- Zbigniew Twardowski.

Pod panią Czarnkowska nogi się ugięły, opadła bezwładnie na fotel. Wandzie zdawało się, że zemdleje.

- Co ci jest, mamusiu? - zapytała z niepokojem.

Usiadła na poręczy jej fotela i wzięła ją za rękę.

- Nic - odrzekła pani Czarnkowska, przyszedłszy do siebie - serce mi się nagle ścisnęło. Już teraz dobrze...

- Może ty myślisz, że ja źle zrobiłam?

Pani Czarnkowska nachyliła głowę przybranej córki do siebie, pocałowała ją w czoło i rzekła:

- Nie, dziecinko, nie. Mnie się zdaje, że ty jesteś mądrzejsza ode mnie.

Przez kilka chwil milczała, wreszcie odezwała się:

- I tobie się zdaje, Wandeczko, że to można brać pieniądze od narzeczonego?

- Słuchaj, mamusiu. Przyrzekłam mu, że wyjdę za niego i słowa dotrzymam nie tylko dlatego, że je dałam, ale że ogromnie chce być jego żoną. Więc tak, jakbym nią już była, czyli że to, co on ma, ma wspólnie ze mną.

- To on ci to wszystko wytłumaczył?...

- On. I przekonał mnie.

- Ma wielki dar przekonywania, prawda?

- O, tak. A Zresztą tatko odzyska majątek i będzie mógł mu zwrócić.

- Kto ci to powiedział?

- Zbigniew. Powiedział, że majątek jest ukradziony i on go odbierze złodziejowi.

- Złodziejowi?..

- Tak. Culmerowi.

- Nic nie rozumiem...

- I ja nic nie rozumiem, ale to wszystko jedno. Wierzę, bo on tak mówi.

Po chwili milczenia pani Czarnkowska zaczęła głośno myśleć.

- Czyż on może tak rzucać pieniędzmi? Przecież nie jest bogaty...

- Jest - odrzekła Wanda. - Odziedziczył duży majątek po stryju. On tylko to ukrywa przed ludźmi: powiada, że dla jego planów tak lepiej. Ale pamiętaj, że to wszystko tajemnica!

- Czyś wiedziała o jego majątku, gdyś się zdecydowała wyjść za niego?

- Nie. Myślałam, że my jesteśmy bogaci, a on tak sobie.

Pani Czarnkowskiej zaświeciły łzy w oczach. Ucałowała jeszcze raz przybraną córkę ze słowami:

- Będiesz szczęśliwa, moje kochanie... Za mnie i za siebie...

Rozdział XXIII

Przyjechawszy do Londynu, Twardowski przede wszystkim kazał się połączyć z jednym ze swych przyjaciół, wysokim urzędnikiem policyjnym. Bywali dawniej razem na seansach mediumistycznych i obaj zajmowali się przyłapywaniem szarlatanów. Twardowski w interesie nauki, tamten dla sportu. Stąd wywiązała się między nimi przyjaźń. Fergusson przepadał za Twardowskim i śmiejąc się, mówił zawsze, że jeżeli mu się znudzi nauka, to ma dla niego dobre miejsce w policji.

Fergusson był wolny i z radością przyjął zaproszenie na śniadanie w restauracji.

Po zwykłej rozmowie między przyjaciółmi, którzy się dawno nie widzieli Twardowski go zapytał o *Tugela River Gold Co.*

- Tak wielki skandal dla nas, policji - rzekł Anglik. - Oszustwo było robione tak ordynarnie, że powinniśmy ich byli przyłapać, zanim zamknęli budę i uciekli. To robota małych, brudnych Żydów, nie mających żadnej pozycji finansowej i należało ich od początku podejrzewać. .

- Czy tak jest w istocie?

- Co pan chce powiedzieć? - zapytał Fergusson.

- Może bym znalazł osobistość z pozycją, która w tym ręce maczała.

- Z pozycją? gdzie?

- Tu, w Londynie.

Anglik się zainteresował.

- A cóż pan może wiedzieć o tej sprawie?

- Zdarzyło się tak, że wiem trochę. Ale chciałbym wiedzieć więcej. I tu mam do pana prośbę. Traktujcie mnie, jak zagranicznego policjanta, który przyjechał wam pomóc i nawzajem żąda od was pomocy. Niech mnie pan skieruje do człowieka, który ma w rękach śledztwo w sprawie *Tugela River*, i niech mu pan poleci, żeby porównał swoje wiadomości z moimi, a może się pan dowie ciekawych rzeczy.

Anglik zaczął się śmiać rubasznie.

- Widzę, że pan mnie posłuchał i zaczyna zużytkowywać swoje zdolności.

- Mówiąc na serio - rzekł Twardowski - ta sprawa bardzo blisko mnie obchodzi,

- Co, może pan ma udziały?

- Bron Boże! Za kogóż mnie pan ma?

- Ja też się zdziwiłem, bo uważam pana za jednego z najinteligentniejszych ludzi. Chętnie polecę pana Sinclairowi, napiszę, żeby panu całkowicie zaufał. Nie pytam pana tymczasem, kto to jest owa osobistość z pozycją, o której pan mówi. Jeżeli pańskie przypuszczenie sprawdzi się, rzecz stanie się o wiele ciekawsza.

Wychodząc z restauracji, zatrzymali się na chwile w *lobby*, gdzie Fergusson napisał list polecający.

Tegoż popołudnia Twardowski odnalazł Sinclaira. Pojechał do jego biura i posłał mu swa kartkę z listem. Sinclair wybiegł na jego spotkanie; widać było, że list zrobił swoje.

Zasiadłszy w fotelu, Twardowski od razu przystąpił do rzeczy.

- Jakież pan ma dotychczas wyniki śledztwa?

- Nieszczęśliwe. Zwykły szwindel, jak wiele innych w tym rodzaju. Okradziono mnóstwo naiwnych ludzi, prawie wyłącznie drobnych rybek, bo grubsze na taką przynętę już się nie biorą. Sprawcy uciekli. Badamy teraz rachunki i korespondencję kompanii, robota banalna, która tyle razy już się robiło i która zawsze daje te same

wyniki. Jedyna rzecz, która by mogła być ciekawsza, to korespondencja prywatna Stuarta, *chairmana* kompanii, pozostawiona w ogromnym nieporządku w szufladach biurka - widać to była wielka flądra. Przeglądamy ją. Jest wiele rzeczy niezrozumiałych, pisanych pod osłonkami, zamiast nazwisk pseudonimy lub inicjały... Wtrącane są zdania po polsku...

- Otóż to są rzeczy - rzekł Twardowski - dla mnie najbardziej interesujące. Może w części pomogę panu do ich zrozumienia. Choćby jako tłumacz polski.

- Ach, to pan Polak.

- Tak, ale naprawdę Polak, nie taki, jak Stuart lub jego współpracownicy, których panowie niesłusznie nazywacie Polakami.

Sinclair zaśmiał się głośno.

- Może panu trochę pomoże - rzekł Twardowski - przeczytanie tego, co tu panu przyniosłem. Jest to rozmowa prowadzona po polsku - przełożyłem ją ściśle na angielski - przez dwóch dżentelmenów w pociągu Golden Arrow między Calais a Paryżem. Działo się to przed paru miesiącami - ma pan tam datę.

Policjant wziął spokojnie papier, położył go przed sobą na biurku i zaczął czytać. Po pierwszych paru wierszach czytał już chciwiej, stracił swa flegmę angielską, raz nawet podskoczył na fotelu.

Skończywszy, zwrócił się do Twardowskiego:

- Czy ma pan pewność, że to rozmowa autentyczna?

- Całkowitą. Sam ją słyszałem i sam spisałem ją dosłownie.

Tu opowiedział Sinclairowi okoliczności, w których się zabawiał w wywiadówce. Anglik słuchał łakomie.

- W takim razie oddał nam pan pierwszorzędną przysługę. Sprawa przestaje być banalna - ma ona teraz dla mnie duszę. Jest w niej jeden punkt.

- Domyślam się - przerwał Twardowski.

- Sir Joseph Turner...

- Nie pierwszy już raz prowadzę śledztwo w sprawie tego rodzaju. Zawsze sir Joseph Turner okazują się posiadaczem niewielkiej ilości udziałów. Dziwiło mnie, że człowiek tak poważny, tak biegły w sprawach finansowych kupuje drobne udziały i daje się okradać na te niewielkie sumy. Czyżby był maniakiem, kolekcjonerem papierów bezwartościowych?.. Ostatnim razem nawet poszedłem do niego, żeby się dowiedzieć, co to znaczy. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i, śmiejąc się, powiedział, że kupowanie wszelkich możliwych akcji i udziałów to jego *hobby*, że gra sobie tym sposobem na loterii i nic go to nie kosztuje, bo czasami papiery bardzo niepozorne i nawet podejrzane okazują się doskonałym interesem. Pomimo wszakże całej uprzejmości i dobrego humoru wywarł na mnie wrażenie antypatyczne.

- Jest pan, widzę, niezłym psychologiem.

- To znów moje *hobby* - bawić się w psychologie. Otóż pan mi dostarcza dowodu, że moje wrażenie nie było mylne. Sir Joseph Turner jest naganiaczem, cichym współnikiem tych oszustów, co mu musi dawać wcale niezły dochód. Posiadanie małej ilości udziałów potrzebne mu jest do pokazania, że on, poważny finansista, zaangażował się w przedsiębiorstwo, to znaczy, że jest ono solidne. Panie, ja go nakryje, i będzie dopiero sensacja!

- A ja panu do tego pomogę.

- Panie... - Anglik spojrział na kartkę wizytową - Twardowski - jestem wielkim pańskim dłużnikiem.

- Mocz mi pan zaraz ten dług zapłacić.

Policjant rzucił pytające spojrzenie.

- Pozwoli mi pan przejrzeć prywatną korespondencję pana Jamesa Stuarta i skopiować lub nawet sfotografować listy, które mnie zainteresują?

Sinclair się zastanowił.

- Nie jest to całkiem w porządku. Wobec wszakże polecenia, z którym pan przyszedł i pańskiej cennej pomocy w Śledztwie, sadzę, że mam prawo to zrobić. Jestem do pańskiego rozporządzenia. Ale pan mi przyrzeknie, że przed procesem te listy nie będą publicznie ogłaszane.

- Przyrzekam.

- Jeszcze jedno. O to już tylko prosić mogę. Rozmowa, która pan spisał, także nie będzie ogłoszona, dobrze? Bardzo by to zaszkodziło śledztwu.

- Dobrze.

Od tej chwili Sinclair był cały na usługi Twardowskiego.

W korespondencji Stuarta znalazł się szereg listów, podpisanych „Charlie” i niewątpliwie pochodzących od młodego Culmera. Dla znajdującego rozmowę w pulmanowskim wagonie były one aż nadto jasne i wystarczające do umieszczenia w więzieniu obiecującego młodzieńca. W niektórych była mowa o Turnerze, oznaczonym bądź inicjałem, bądź tytułem „knight” (szlachcic). Sinclair nie posiadał się z radości, gdy te listy ponownie odczytał, rozumiejąc je teraz całkowicie.

- Panie Twardowski - mówił - będę panu zawdzięczał dwie rozkoszne chwile w swoim życiu: jedna, gdy otrzymam *warrant* na aresztowanie Turnera i zacznę z nim rozmawiać o jego *hobby*; druga, gdy będę patrzył, jak sir Joseph wędruje w kajdankach do Dartmoor.

Twardowski listy młodego Culmera przeważnie sfotografował.

Zadowolony ze swej wyprawy londyńskiej po ośmiu dniach był już z powrotem w Warszawie.

Na stacji czekał go Michał, który zabrał jego ręczne rzeczy i kwit od bagażu, meldując, że w samochodzie czeka panna Czarnkowska. Przyśpieszył kroku.

- Mam nadzieję, że się pan nie gniewa na mnie za zaproszenie się do pańskiej limuzyny - rzekła na przywitaniu.

- Nie śmiałem marzyć o takiej niespodziance - odparł, całując ją w rękę.

Rzuciła Markowi adres Twardowskiego, a gdy ten chciał ją poprawić, zamknęła mu dłonią usta.

- Pojadę do pana, bo mam dużo do opowiedzenia.

W drodze zdążyła mu tylko powiedzieć, że wykonała ściśle jego instrukcje, że ojciec nic nie wie i nic nie przedsięwzię, że jednak przybraną matkę musiała we wszystko wtajemniczyć, ale ta przysięgła, że nic ojcu nie powtórzy.

Drzwi m otworzył Grzegorz. Dobry służbista nie okazał najmniejszego zdziwienia zobaczywszy pana w tak efektownym towarzystwie.

- Kto jest ten straszny człowiek? - zapytała szeptem gdy się znaleźli sami.

- To Grzegorz. Wśród mej służby, która jest dobra, on jest najlepszy. Muszę pani go przedstawić.

Zadzwoił. Wszedł Grzegorz i stanął w pozycji.

- Grzegorzu - rzekł Twardowski - zawiadamiam cię, że panna Wanda Czarnkowska jest moją narzeczoną. Tymczasem masz nie mówić o tym nikomu.

- Rozumiem.

Pochylił się nisko przed dziewczyną i pocałował ją w rękę.

- Mam nakryć na dwie osoby? - zapytał z powagą.

Twardowski spojrzał nieśmiało na Wandę.

- Na dwie - odpowiedziała. - Zatelefonuje do domu, że nie będę na obiedzie.

Grzegorz wyszedł.

- On nie jest tak straszny, jak mi się w pierwszej chwili wydało. Ma coś poczciwego w oczach. Ale on musi być silny!

- O, tak - rzekł Twardowski.

- Niósł raz w powietrzu za kołnierz dwóch ludzi: Culmera i jego przyjaciela. I wrzucił ich, jak kufarki, do samochodu.

- Culmera? Kiedy?

- To było już dawno, za życia mojego stryja. Później to pani opowiem.

- Widzę, że strasznie dużo mam do usłyszenia od pana... Ale jest jedna rzecz. Teraz, gdy Grzegorz wie, że jesteśmy narzeczeni, czy to wypada, żebyśmy przy nim byli na pan i pani? Musimy sobie mówić: ty.

- Niczego więcej nie pragnę.

- I zaczniemy to zaraz, żeby się wprawić, bo to będzie trudne.

Twardowski nie bardzo podzielał tę obawę.

Zdjęła futro i kapelusz, usadowiła się wygodnie i rozpoczęła długi raport o tym, co się działo w Warszawie podczas nieobecności Zbigniewa. Opowiedziała mu o swojej rozmowie z rodzicami w dniu jego wyjazdu, o zwierzeniach zrobionych matce, przeszła do prozaicznej opowieści o tym, jak ze wszystkich stron zaczęto się zwracać o pieniądze. Na szczęście nie były to wielkie sumy, tak że wydała tylko połowę posiadanych pieniędzy. Ojciec nie wychodził z domu, był niby chory. W dwa dni po wyjeździe Zbigniewa przyszedł do ojca Culmer. Pytał się, jak sobie radzę, a ojciec, zgodnie z jej instrukcją, odpowiedział, że jeden z przyjaciół pożyczył mu trochę pieniędzy. Później Culmer dużo mówił o swym synu, wychwalał go ogromnie, tylko się martwił, że zanadto lubi Anglię, że się z niego zrobił całkowity angielski gentleman. Później jakoby powtarzali, co syn jego mówił o pannie Wandzie, jakie kolosalne wrażenie na nim zrobiła!

- No i cóż ty na to? - zapytała.

- Sprawdza się to, co powiedziałem - odparł Zbigniew.

- Wszystko się sprawdza. Ja wkrótce przestane myśleć, tylko będę powtarzała za tobą, jak za panią matką pacierz. Co najgorsze, że tatko mówił o tym tak, jakby nic nie miał przeciw temu, żebym została synową tego Culmera. Wychwalał tego żydziaka, aż mu przerwałam trochę niegrzecznie. Później sobie to wyrzucałam, bo biedny tatko jest bardzo nieszczęśliwy i czasami nie wie, co mówi. Wczoraj był z wizytą sam pan Charles Culmer. Jaki on był Anglik! A jak pięknie mówił o Anglii i o swoich angielskich przyjaciołach. Mój przyjaciel Buckingham...

- Żydek niemiecki, mówiący źle po angielsku - wtrącił Zbigniew.

- Mój przyjaciel Mackaen...

- Max Cohn z Wiednia.

- To, to także twoi przyjaciele? - zapytała z udaną powagą.

Twardowski wybuchnął śmiechem.

- Nie, ale ja wiele wiem o znakomitych ludziach, o których nigdy nie słyszałaś. Jest jeszcze James Stuart, sir Joseph Turner, o których wkrótce się dowiesz.

Wszedł Grzegorz, zawiadamiając, że obiad podany.

Panna Wanda była przy stole bardzo swobodna i wesoła. Grzegorz patrzył na nią z widoczną aprobatą.

- Wiesz - rzekła - bardzo mi się tu u ciebie podoba. Będę częściej przychodziła na obiady.

Wrócili do gabinetu. Rozsiadła się wygodnie w fotelu i rozglądała się ciekawie po całym pokoju. Grzegorz wszedł z czarną kawą.

- A jak się ma Piorun? - zapytał Twardowski.

- Dobrze, proszę jaśnie pana, tylko trochę mu się nudzi.

Nie uszło uwagi Twardowskiego, że Grzegorz przy Wandzie znów go zaawansował na jaśnie pana.

- Przyrowadź go.

- Któż to jest ten Piorun? - zapytała zaintrygowana Wanda.

- Mój wiemy przyjaciel.

Drzwi się uchyliły. Pies, który czuł już pana w mieszkaniu, wpadł z impetem i rzucił się ku Twardowskiemu z radosnym piskiem.

- Ach, jaki on śliczny! - zawołała Wanda.

Pies tulił się do długo nie widzianego pana, który go głaskał i mówił mu przyjemne rzeczy. Wreszcie Twardowski, wskazując na Wandę, rzekł:

- Idź, przywitaj panią.

Piorun podniósł głowę, popatrzył uważnie na nową osobę. Widocznie inspekcja wypadła dobrze, bo zeskoczył na ziemię, i obchodząc dokoła stolik, podszedł do Wandy. Najpierw dotknął nosem jej nogi, po czym położył łeb na jej kolanach, patrząc jej w oczy.

Dziewczyna, zachwycona, zaczęła go pieścić, co Piorun przyjmował z widoczną przyjemnością.

- Taki miły, a tak się strasznie nazywa! - mówiła do niego.

- Bo on umie być bardzo niemiły dla tych, do których nie ma zaufania - objaśnił jej Twardowski. - To dzielny stróż mojej osoby.

- To jesteś kochanym Piorunem. Twojego pana trzeba dobrze pilnować. Gdy się Piorun wreszcie ułożył swoim zwyczajem u nóg pana, Wanda rzekła:

- Słuchaj, ale ja ciągle jestem, jak tabaka w rogu co do twojej londyńskiej podróży. Nic nie rozumiem z tego, co mi mówisz na wyjeździe. Czy możesz mi coś powiedzieć tak, żebym zrozumiała?

Twardowski opowiedział jej o podsłuchanej przypadkiem rozmowie między Calais a Paryżem i o tym, że ja zapisał.

Słuchała zdumiona.

- Czy to twój stały zwyczaj słuchać cudzych rozmów i zapisywać je sobie?

Wybuchnął śmiechem.

- Pyszne pytanie! - zawołał. - Nie. Dziecko, nie bój się. Poszukiwałem człowieka, Noszącego nazwisko Kolmar czy Culmer. Nazwisko to usłyszałem w rozmowie tych dwóch jegomościów i powiedziałem sobie, że może ona mieć znaczenie w moich dochodzeniach. Dlatego ją zapisałem.

- Rozumiem.

- Ale nigdy przedtem do głowy mi nie przyszło, że to była mowa o twoim ojcu i o tobie. Dopiero, gdy mi powiedziałaś, że ojciec stracił majątek na kopalniach złota, wszystko stanęło mi jasno przed oczyma. Żle to świadczy o mojej inteligencji, że się nie domyśliłem wcześniej.

- Nie wiem, ale dobrze świadczy o twojej delikatności. Dziękuję ci w imieniu mojego ojca za to, że go nie posadziłeś o takie nierozsądne postępowanie.

- Rozumiesz teraz - rzekł Twardowski - dlaczego pojechałem natychmiast do Londynu. Tam zdobyłem materiał obciążający obu Culmerów, który posłuży do odebrania majątku.

Dziewczyna słuchała z otwartymi ustami.

- Wiesz - rzekła w końcu - że to bajeczna historia. Ekscytowałaby mnie nawet gdybym nie była jej bohaterką. Ale ty jesteś jeszcze bajeczniejszy. Musze z ciebie dużo jeszcze wyciągnąć, żeby się orientować. Ten Culmer, na przykład, nie zaczyna się u ciebie dopiero od tej historii. Tu jest coś dawniejszego.

- Dobrze się domyślasz.

- Musze to odłożyć na inny raz. Już czas iść. Mogę nie być na obiedzie, ale jeszcze takiej pozycji sobie nie wyrobiłam, żeby móc po nocach wracać do domu. Trzeba się ubierać.

Zerwał się z miejsca. Zatrzymała go za rękę i z całym spokojem, jakby mówiła o najprostszej rzeczy, rzekła:

- Jesteś moim narzeczonym, a dotychczas mnie nie pocałowałeś.

Nie czekając, rzuciła mu się na szyję i usta ich społy się w długim, namiętym pocałunku...

Nagle oderwała się od niego, stanęła o parę kroków.

- Daj mi futro - wyszeptała ze spuszczonej oczyma.

Okrył ją futrem i podał kapelusz.

- Odwiozę cię do domu - rzekł.

Nic nie odpowiedziała.

W samochodzie siedziała, wciśnięta w róg, nie mówiąc ani słowa.

Gdy zbliżali się do ich domu, Twardowski się odezwał:

- Jutro będę u was o czwartej. Musze się zobaczyć z twoim ojcem.

- Chcesz mu powiedzieć?

- Tak. Ale idę przede wszystkim załatwić sprawę Culmera.

Dala mu rękę do pocałowania, wyskoczyła z samochodu i pobiegła ku wejściu do domu. Pośpieszył za nią. Wkrótce drzwi się otwały.

- Dobranoc. Dziękuję za odprowadzenie - rzekła przy służącym i szybko wpadła do domu.

Długo w nocy Twardowski nie mógł zasnąć. Ciągłe czuł jej usta na swoich. To mu utrudniało logiczne myślenie, a jednocześnie spędzało sen z powiek.

Wanda od służącego dowiedziała się, że pani Czarnkowska jeszcze nie śpi i prosi ją, by do niej wstąpiła.

Poszła niechętnie; wołałaby zostać sama ze sobą,

- Gdzieżeś, dziecko, była na obiedzie? - zapytała matka.

- U mego narzeczonego.

- Co?... Jak to się stało?...

- Pojechałam go powitać na dworzec. Chciałam się dowiedzieć, co przywozi z Londynu, i zdać mu sprawę z tego, co się tu dzieje. W samochodzie nie mieliśmy dość czasu na rozmowę, więc zaprosiłam się do niego. A gdy byłam u niego, zaprosiłam się na obiad.

- Ależ, moje dziecko, jak to wygląda?

- Moim zdaniem, całkiem naturalnie. Zdecydowałam się zostać żoną człowieka, którego znam bardzo mało. On mi imponuje, ale go nie rozumiem. Musze go poznać lepiej, wystudiować go, zajrzeć jak najgłębiej do jego duszy. A jakże to zrobić, jeżeli nie będę spędzała z nim jak najwięcej czasu sam na sam...

- Ależ, moja Wandeczko, młode panny nie bywają u samotnych mężczyzn, nawet będąc ich narzeczonymi.

- To było tak za twoich czasów. My dziś inaczej traktujemy te sprawy. Spytaj moich dawnych koleżanek. Przede wszystkim, my nie jesteśmy takie naiwne. Nas uczą o rzeczach, o których wyście nie miały pojęcia, czytamy książki, których wam do rąk nie dawano. Dla was małżeństwo zawierało tajemnice - my wiemy wszystko, nie czekają nas w nim żadne niespodzianki. Dzisiejsza dziewczyna traktuje młodych mężczyzn po koleżeńsku, ociera się ciągle o nich czy to na studiach, czy w sportach i nie robi sobie z nimi żadnych ceremonii. To przesada, że ja nie mogę być sam na sam z mężczyzną w jego mieszkaniu, tym bardziej z moim narzeczonym.

- Mówisz do mnie tak, jakbym należała do pokolenia twoich prababek. Mylisz się: myśmy także nie były ciemne, dużo wiedziałyśmy. I mylisz się, że was w małżeństwie nie czekają niespodzianki. Nałapałyście się wiadomości często fałszywych, brałyście je nie z życia, ale z literatury, która handluje sensacją, i zdaje wam się, że jesteście pierwszym pokoleniem mądrych kobiet. Życie wam sprawi niespodzianki tak samo, jak je nam sprawiło. Ty, Wandeczko jesteś niegłupią dziewczyną, ale nie dlatego, że ci w głowę napakowano rozmaitych wiadomości, które często są nic nie warte, tylko dlatego, że masz sporo zdrowego rozsądku i dobre, szlachetne instynkty. Tym instynktem zawdzięczasz, że zrobiłaś dobry wybór, decydujący o całym twoim życiu, o twoim szczęściu. Bo Twardowski, to człowiek, do którego mam nieograniczone zaufanie. W jego rękach nie boję się o ciebie.

- A właśnie to jest jedyny mężczyzna, którego się boję.

- Co ty mówisz? - zapytała zdziwiona matka.

- Próbuję przemóc ten strach, nadrabiam odwagę, ale to się źle kończy.

- Nie rozumiem..

- To ci powiem wszystko szczerze. Spędziliśmy wieczór na bardzo interesującej rozmowie dwojga dobrych przyjaciół. On mi już dawno zaproponował, żebyśmy byli dobrymi przyjaciółmi i nie mówili między sobą o tym, czym ja jestem dla niego, a on dla mnie. Bo on nie miał zamiaru mi się oświadczyć, dopóki nie zwycięży swoich nieprzyjaciół. Oświadczył się tylko dlatego, że nie chciałam wziąć od niego tamtych pieniędzy. Ale się oświadczył i jest moim narzeczonym. Uważałam więc za śmieszne, żeśmy się dotychczas nie pocałowali i kiedy już miałam wychodzić, wzięłam na odwagę i pocałowałam go...

- Oj, dziecko, dziecko! - mówiła pani Czarnkowska z pobłażliwym uśmiechem.

- I kiedy się całowaliśmy, poczułam nagle, że mnie siły opuszczają, że tracę wolę, że jestem zupełnie w jego rekach i on może zrobić ze mną wszystko co zechce. Strasznie się przelękałam i ostatnim wysiłkiem wyrwałam się z jego ramion. Jestem pewna, że żaden inny mężczyzna do tego by mnie nie doprowadził i nie nabawił takiego strachu.

- I cóż zrobiłaś?

- Poprosiłam, żeby mi podał futro. On mi je podał i odwiózł mnie do domu.

- Wiesz, kochanie, co to znaczy? - rzekła pani Czarnkowska. - To, że spotkałaś jedynego mężczyznę, z którym możesz być naprawdę szczęśliwą. Bo prawdziwa kobieta - a ty nią jesteś, pomimo że udajesz czasami dziwoląga - nie może być szczęśliwa z mężczyzną, którego lekceważy...

Wandeczka się nie domyśliła, że jej przybrana matka mówi o sobie

Rozdział XXIV

Następnego dnia po południu Twardowski wybrał się do ograbionego dziedzica Zbychowa.

Ledwie poznał człowieka, który przy pierwszym spotkaniu uderzył go młodzieńczością. Czarnkowski stracił werwę, całą lekkość i sprężystość ruchów, przygarbił się, a na zapadłej twarzy zjawily się brzydkie zmarszczki. I to wszystko stało się w tak krótkim czasie.

Z zapóźnionego młodzieńca - pomyślał Twardowski -został przedwczesnym starcem. Nie miał czasu być dojrzałym mężczyzną.

- Czym panu mogę służyć? - zapytał gospodarz sucho, z widoczną niechęcią.
- Chcę mówić z panem o pańskich interesach – odparł Twardowski – jakkolwiek to jest niedyskrecja.

Widział, że Czarnkowski go przyjął tylko pod presją Wandy. Nie dając mu czasu do odezwania się, mówił dalej:

- Znam dobrze całą historię pańskiej straty. Został pan cynicznie okradziony. Od dawna już istniał plan pozbawienia pana majątku...

Mina Czarnkowskiego świadczyła, że nie bierze swego gościa, na serio. Ten wszakże spokojnie mówił dalej:

- Mam przekonanie, że ten skradziony majątek można odebrać. Może pana dziwić, że ja się w to wdaję. Otóż czynię to przede wszystkim dlatego, że interesuje mnie osoba złodzieja, z którym mam pewne porachunki.

- Któż jest tym złodziejem? - zapytał Czarnkowski z ironią.

- Pan mecenas Henryk Culmer.

Czarnkowski skoczył.

- Proszę pana liczyć się ze słowami. Pan Henryk Culmer jest moim przyjacielem i mam dla niego wielki szacunek. Nie mogę pozwolić, ażeby o nim w ten sposób do mnie mówiono.

Twardowski się uśmiechnął.

- Za chwilę pan zmieni zdanie.

Czarnkowski czuł się widocznie obrażony ostatnimi słowami gościa. Zrobił ruch, jakby chciał powstać i tym sposobem zmusić Twardowskiego do opuszczenia jego pokoju, ale się zatrzymał. Widocznie wzięta górę ciekawość. Co mu ten powie, a może chęć powiedzenia mu ze swej strony czegoś, co go upokorzy. Zaczął też od razu:

- Panu zapewne nie wiadomo, że pan Culmer odradzał mi zaangażowanie się w interes, na którym straciłem. Kupił zaś mój majątek dlatego, że go musiałem sprzedać; zrobił to tylko dla wydobycia mnie z kłopotu i dał wyższą cenę od ofiarowanej mi przez innych.

Patrzył na Twardowskiego z triumfem.

- Nie wiedziałem - odrzekł Zbigniew - ale się tego domyślałem. Czy pan pozwoli, że panu przeczytam pewien dokument?

- Proszę - rzekł tamten sucho.

Twardowski sięgnął do teki, która przyniósł ze sobą, wyjął z niej kilka kart papieru, razem spiętych i zaczął:

- Jest to rozmowa prowadzona parę miesięcy temu w pociągu na linii Calais--Paryż, między synem pańskiego przyjaciela. Karolem Culmerem, a panem Jamesem Stuartem, który zapewne jest panu także znany. Osoba, która przypadkiem słuchała tej rozmowy, zapisała ją dosłownie, stenograficznie.

- Któż to ją zapisał?

- Tego tymczasem nie powiem. Niech pan posłucha.

Zaczął czytać swój protokół, opuszczając tylko wyrażenia, które byłyby zbyt bolesne dla miłości własnej Czarnkowskiego.

Ten, słuchając, niespokojnie się ruszał w fotelu, mienił się na twarzy, jakaś burza w jego duszy szalała.

Gdy czytanie dobiegło do końca, opanowując się z trudem, zapytał drżącym głosem:

- Proszę pana, skąd ja mogę wiedzieć, że ta rozmowa jest autentyczna?

- Ja wiem. Co zaś do pana, to może się znaleźć sposób na przekonanie pana. Czy nie ma pan czasem, jakiegoś listu od młodego Culmera?

- Mam. Otrzymałem go przed paru dniami.
- Niech pan go wyjmie i położy przed sobą na stole.
Czarnkowski podszedł do biurka, wyjął z szuflady list i położył go przed sobą.
Twardowski sięgnął znów do teki, wyjął kartę grubego papieru z fotografią pisma i położył ją przed Czarnkowskim ze słowami:
- Niech pan porówna te dwa listy i powie mi, czy pisała je jedna reka.
Czarnkowski długo się przyglądał dokumentom, wreszcie krzyknął:
- Tak, stanowczo tak!
- Teraz niech pan przeczyta ten list sfotografowany.
Czarnkowski zaczął czytać chciwie. Naraz zerwał się z fotela i zaczął biegać po pokoju, krzycząc:
- A łotry, łotry, łotry! Boże, nikomu nie można wierzyć na świecie!...
- Można – rzekł spokojnie Twardowski - ludziom uczciwym. Jest ich więcej, niż takich, jak ci, łotrów.
Czarnkowski stanął przed nim i wyciągnął do niego rękę:
- Zwyciężył mnie pan! zwyciężył i upokorzył! Jakież ze mnie głupiec!
Długo trzeba było czekać, aż się na tyle uspokoił, żeby móc zacząć myśleć na nowo. Tej przywróconej zdolności złożył dowód, gdy zapytał:
- Skąd pan te dokumenty posiada?
- Byłem świeżo w Londynie i dla tej sprawy wszedłem w kontakt z policją angielską.
Czarnkowski szeroko otworzył oczy.
- Panie, kim pan jest?
Twardowski przypomniał sobie, że już to pytanie słyszał od dziewczyny, która potem została jego narzeczoną. Odrzekł poważnym i surowym głosem:
- Jestem synowcem Alfreda Twardowskiego, któremu Culmer zrujnował i skrócił życie. Moim zadaniem jest ukarać i unieszkodliwić tego nikczemnika.
Czarnkowskiego oczy patrzyły w przestrzeń. Coś z przeszłości odżyło w jego pamięci. Na jego wymęczonej twarzy malował się głęboki ból.
- I dzięki temu odzyska pan majątek - dodał Twardowski.
Czarnkowski spojrzał na niego nieśmiało jak winowajca.
- I pan - rzekł - chce być moim dobrodziejem.
- Mówiłem już panu, że w tej sprawie obchodzi mnie przede wszystkim Culmer, a raczej Kulmer, bo to jest Żyd polski. Zresztą może mnie pan uważać za zainteresowanego w swoim majątku. Jestem narzeczonym pańskiej córki.
Czarnkowski znów oczy szeroko otworzył. Zaczął wyjąkiwać:
- Chociaż to się stało bez mojej wiedzy...
Naraz zerwał się z miejsca, rzucił się Twardowskiemu na szyję i zaczął szlochać. Uspokoił się nareszcie i usiadł.
Nagle zapytał:
- To ona od pana ma pieniądze, którymi nas teraz ratuje?
- Ode mnie.
- A mówili, że pan nic nie ma!
- Stryj mój nie stracił nic ze swego majątku i wszystko mi zostawił. Choć pan odbierze swoje, jestem od pana bogatszy. Wobec tego rozumie pan, że przyczyna mojego zainteresowania w pańskim majątku jest przede wszystkim Kulmer.
Czarnkowski patrzył na przyszłego zięcia z coraz większym respektem. Jednocześnie rósł jego respekt dla córki, która sama sobie znalazła bogatego męża.

Twardowski bogatszy był w jego oczach, dziesięciokrotnie mądrzejszym i poważniejszym człowiekiem niż przed chwilą i gdy ponownie z ust jego usłyszał, że majątek będzie odebrany, już nie wątpił, że to się stanie.

- Wiec pan mówi - rzekł - że majątek będzie można odebrać?
- Tak. Tylko pan mi musi pomóc.
- W jaki sposób?..

Twardowski zauważył strach, który przemknął po twarzy ojca Wandy. Widocznie bał się, czy nie będzie wysłany na walkę z Culmerem, dla którego respekt tkwił, jeżeli już nie w jego mózgu, to w nerwach. Postanowił go więc uspokoić:

- Chce panu oszczędzić spotkania z tym łotrem; dlatego musi pan dać *plein pouvoir* do działania w pańskim imieniu adwokatowi Osieckiemu. Niech się pan ubierze, pojedziemy do niego - on już na nas czeka. Ja tymczasem spróbuje zobaczyć moją narzeczoną. A niech pan pamięta, że to, co pan usłyszał ode mnie, musi tymczasem pozostać między nami.

- Widział, że Czarnkowski doznał wielkiej ulgi. Ruszył się z jakąś nową energią.
- Za kwadrans będę gotów. Niech pan idzie do pań.

W salonie czekała Wanda.

- Cos tak długo robił u tatka ? Myślałam, że nigdy nie skończycie.
- Oświadczyłem mu się o twoja rękę i zostałem przyjęty.
- To chodź teraz i oświadczyć się mamusi.

Wzięła go za rękę i poprowadziła.

- A na kogo tatko tak krzyczał? - pytała po drodze.
- Na mnie, że mu cię zabrałem bez jego wiedzy.

- E, głupstwa gadasz. Ty sobie ciągle drwisz ze mnie. - Mamo, to jest mój naręczony - zawołała wprowadzając go do pokoju matki.

Pani Czarnkowska uśmiechnęła się przez łzy i wyciągnęła do niego rękę, oszczędzając mu ceremonii oświadczyn.

Wkrótce zjawił się Czarnkowski i razem wyszli.

U Osieckiego Czarnkowski podpisał plenipotencję wraz z upoważnieniem do odebrania aktów jego sprawy od adwokata, którego polecił mu Culmer. Ten dawniej prowadził jego sprawy, ale się zrzekł tego, kiedy zdecydował się kupić jego majątek.

Wróciwszy do domu, Twardowski kazał się połączyć z Culmerem.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał tamten tonem niegrzecznym.
- Chcę być u pana jutro o dziesiątej rano.

- Może pan chce, ale ja nie chcę pana widzieć - odrzekł mecenas, mając nadzieję, że Twardowski zdecydował się zaproponować pokój i że na ten wypadek lepiej przybrać rolę obrażonego, którego trzeba przebłagać.

- W takim razie spotkamy się dopiero przed kratkami sadowymi.

Pewność siebie w głosie Culmera zachwiała się.

- Sadowymi? - zapytał.- W jakiej sprawie?

- W sprawie *Tugela River Go/od Co. Ltd.*

- W jakiej? Nie rozumiem.

- Nie będę powtarzał; powiedziałem wyraźnie. W tej sprawie nie stanie pan jako adwokat, ale jako pozwany i oskarżony, bo to będzie także sprawa kama.

- Ja z żadnymi kopalniami złota nie mam nic wspólnego.

- Sam na własną rękę nie, ale w spółce z panami: Charles Culmer, James Stuart, sir Joseph Turner...

- Panie, jak pan śmie mówić takie rzeczy i to jeszcze przez telefon?.
- Chciałem mówić dyskretniej i być u pana...

- To ja już wole czekać jutro. Tu jest jakieś nieporozumienie, które trzeba wyjaśnić.

- O dziesiątej rano?

- Dobrze.

Mecenas Culmer miał znów noc bardzo niedobłą.

Nie dawało mu zasnąć pytanie, na które nie miał odpowiedzi:

- Co Twardowski może wiedzieć?... I w jakim celu on się miesza w tę sprawę?.

Dla niego, człowieka tak szanowanego - pomimo ostatnich napaści w gazetach -tak znanego z nieskazitelności, samo już podniesienie tej sprawy jest niedopuszczalne. Niczego mu nie dowiodę; ale cóż z tego?.. Samo oskarżenie jest już ciosem, który może całkiem zniszczyć jego pozycję. A jeżeli do Turnera dojdzie, że został skompromitowany via Warszawa, to znaczy przez Culmerów, skutki mogą być straszne. Turner, to potężny człowiek, jego wpływy sięgają daleko. Turner takiej rzeczy nigdy nie przebaczy... Jakim sposobem Twardowski doszedł do wymienienia tego nazwiska?.. Kompromitacja Turnera byłaby klęską dla wielu ludzi, dla całej organizacji i sprawca jej poniósłby karę, o której Culmer wolał teraz nie myśleć...

Culmer, w miarę, jak te myśli tłukły się po jego głowie, utwierdził się coraz bardziej w poczuciu, że Warszawa jest za ciasna dla takich dwóch ludzi, jak on i Twardowski. Ktoś musi ustąpić. On nie, bo imię Culmera za wiele znaczy i za wiele obejmuje. Jemu nie wolno dać się pobić i usunąć. A wiec?...Dawne myśli o potrzebie pozbycia się Twardowskiego wracały o wiele natrętniej. Teraz już nie ma ani chwili do stracenia, nie ma czasu na wybieranie sposobów i szukanie najlepszych, najpewniejszych narzędzi. Z nocy bezsennych rodzą się ciekawe myśli. Są one zazwyczaj mniej warte od tych, które przychodzą rano, po dobrze przespanej nocy; niemniej prowadzą czasami do wielkich postanowień, do postanowień rozpaczliwych...

Rano mecenas zadzwonił wcześniej, niż zwykle, na Jakuba.

Dziwny służący wszedł, uważnie przyglądając się panu, na którego twarzy była wypisana cała praca myśli całą męka bezsennej nocy.

- Dziś - rzekł Culmer - przyjdzie tu o dziesiątej Twardowski.

- Słyszałem to już wczoraj - odpowiedział Jakub tonem, w którym było mniej niż zwykle szacunku.

- Ten człowiek stał się niemożliwy.

- On już dawno jest niemożliwy.

-Ale teraz każda dalsza godzina jego działania jest ogromnym niebezpieczeństwem.

- Wiec?...

- On tu będzie sam...To człowiek młody i, zdaje się, silny. ale..

- Ale, jeżeli pan zajmie go rozmową, a ja przypadkiem znajdę się za jego plecami, to, to przecież jest sposób... Prawda?... -Tylko. co potem zrobić? To najtrudniejsze... - I z tym można sobie poradzić. Ryzyko zawsze jest i duże. Ale jeżeli już jest taka nagła potrzeba... Tylko...

- Tylko co? - zapytał mecenas nerwowo.

Na twarzy służącego zjawił się wyraz ironii.

- Tylko pan zapomniał, że on ma swój samochód.

-Wiec co?

- Wiec jego szofer będzie wiedział dokąd pana zawiózł. A może nawet czekał na niego przed domem.

- Wiec wszystko na nic?

- Myślę, że tak. Trzeba, żeby się to stało w innym miejscu. I musi to zrobić ktoś inny. Sądziłem, że pan jest na taką potrzebę przygotowany...

- Niestety, nie ma ludzi. Myślałem o tym dużo i nic nie mogłem wymyślić. A tu nie ma chwili do stracenia...

Mecenas, bezradny, poddawał się coraz bardziej ogarniającej go rozpacz.

Służący wzruszył ramionami z politowaniem.

- A może pan przesadza? - rzekł. - Może jest jeszcze trochę czasu?..

- Może – myślał Culmer głośno - może to tylko bluff z jego strony... Może on nic nie wie i tylko próbuje się domyślać, i chce ze mnie coś wyciągnąć...

Przecucie jednak mówiło mu, że sprawa gorzej się przedstawia.

Punkt o dziesiątej rozległ się dzwonek u drzwi.

Jakub wprowadził Twardowskiego do pustego gabinetu, potem zbiegł szybko z pierwszego pietra na dół i wyjrzał na ulice. Wrócił równie szybko do pana z raportem:

- Samochód stoi przed domem, przy nim na chodniku szofer, a w środku ktoś drugi, pewnie służący. Cała więc kombinacja na nic. Twardowski przyszedł z teczką, musi mieć jakieś dokumenty do pokazania.

Nerwowość Culmera wzrosła.

- Można by go uwolnić od tych papierów. gdyby zaszła potrzeba – zauważył Jakub.

Wyłożył myśl obszerniej.

- Dowiemy się najpierw, co on ma - odrzekł mecenas i przybrałszy minę o ile mógł najspokojniejszą, poszedł przyjąć niepożądanego gościa.

Twardowski, wszedł do gabinetu Culmera, usiadł w fotelu przed biurkiem, przysunął sobie uprzednio krzesło, na którym położył teczkę ażeby ją mieć pod ręką.

Czekał z dziesięć minut, zanim się zjawił mecenas.

- Niech pan siada - rzekł do gospodarza - bo mam mało czasu, a dużo mamy do załatwienia.

Culmer w milczeniu usiadł za biurkiem.

- Wobec tego - zaczął Twardowski - że mówię o rzeczy dobrze panu znanej, będę się streszcza.

Mecenas poruszył się, ale słowa nie wymówił.

- Uplanował pan sobie pozbawić swojego przyjaciela, pana Czarnkowskiego, majątku - wszak i mój stryj, Alfred, był drogim pańskim przyjacielem, nieprawda? W tym celu niejaki Thomer alias sir Joseph Turner, naganiacz naiwnych udziałowców do szwindlu, zwanego *Tugela River Go/d Co.*, namówił biednego człowieka na wpakowanie całego majątku w udziały tego nadzwyczajnego interesu. Oszustowi stojącemu na czele szwindlu, który się ustroił w nazwisko Stuarta, sprzedał Czarnkowskiego pański obiecujący synalek, który wziął za to niezwykle wysoką prowizję. Genialny plan został wykonany: pan jest właścicielem Zbychowa, syn pański właścicielem połowy pieniędzy, włożonych przez Czarnkowskiego w *Tugela River*, a sam Czarnkowski został żebrakiem.

- Pan powinien pisać romanse, panie Twardowski. Ma pan niezwykle bogatą fantazję.

Ton ironiczny nie bardzo się Culmerowi udawał. Mimo robionych przez niego wysiłków, zdenerwowanie jego było widoczne.

- Żeby nie tracić czasu na próżne spory - odrzekł Twardowski – przeczytam panu bardzo interesujący dokument.

Wyjął z teki i przeczytał mu całą rozmowę w pociągu, poprzedziwszy ją swoim komentarzem.

Culmerowi zrobiło się zimno. Zdobył się jednak jeszcze na dalszą próbę ironii:

- Ten utwór także świadczy o bogatej fantazji jego autora.

- A czy to także utwór fantazji?

Tu Twardowski wyjął z teki fotografie listu i trzymając ją mocno w obu rękach przed oczyma Culmera, mówił:

- Niech pan czyta... Poznaje pan charakter pisma... Czy będzie pan próbował kwestionować i ten dokument?

Culmer opadł bezwładnie w fotelu.

- Panie, kto pan jest?

Twardowski się uśmiechnął.

- Już trzeci raz w Warszawie słyszę to pytanie. Odpowiem to samo, co za drugim razem.

Zmienił nagle ton i patrząc Culmerowi w oczy, wybijał mocno wyraz po wyrazie:

- Jestem synowcem Alfreda Twardowskiego i załatwiam rachunki stryja z jego "drogim przyjacielem", panem Henrykiem Culmerem.

Culmer był jak piorunem rażony. Po długim milczeniu zawołał:

- Czego pan chce?... Co pan ma zamiar zrobić?

- Przede wszystkim mam zamiar odebrać dla pana Czarnkowskiego jego majątek.

- Odebrać? Ja go kupiłem i jest mają legalną własnością.

- To nic nie szkodzi. Pan go odda.

- Jak to odda? Czy pan Czarnkowski ma pieniądze, żeby go odkupić?

- Pan go odda bez pieniędzy. Pan Czarnkowski musi wrócić do swego majątku bez straty.

Culmer wybuchnął śmiechem szyderczym, do którego zdenerwowanie domieszało coś ze śmiechu wariata.

- Jeżeli pan tego nie zrobi - rzekł spokojnie Twardowski - będziemy mieli interesujący proces, bardzo interesujący... Dziennikarze będą nam wdzięczni.

Culmer zaczął ciężko oddychać.

- Więc ja mam Czarnkowskiemu podarować całą sumę, którą wypłaciłem przy kupnie Zbychowa? Przecież to rabunek!

- Nie, panie, to tylko naprawienie krzywdy. Zresztą zostanie panu i pańskiemu synowi połowa tej sumy, mianowicie prowizja, wzięta przez niego od Stuarta.

- Ja tego nigdy nie zrobię!

- Zrobi pan dobrowolnie, czy nie?

Schował do teki papiery, zamknął ją i położył na krzeselku.

- Niech pan nie myśli - dodał - że dokumenty, które panu pokazałem, są jedynymi. Są tu jeszcze inne, które będą przedstawione sadowi.

Tonący Culmer gotów był uchwycić się wszelkiej deski, choćby to była najcieńsza listewka.

- Co pan ma za interes - zapytał - zajmować się majątkiem Czarnkowskiego?

- Mam, i to wielki - odrzekł Twardowski z pozorną powagą.

- Spadkobierczynią pana Czarnkowskiego jest jego jedyna córka, panna Wanda Czarnkowska, a ja jestem jej przyszłym mężem. Rozumie pan? ...

Culmer otworzył obrzydliwe usta z grubą, obwisłą dolną wargą.

- Jak pana to zdziwiło! - rzekł Twardowski. - Prawda, ona według pańskiego planu miała zostać panią Culmerowa, mrs. Charles Culmer, a w przyszłości może lady Culmer - bo tylko na szerokim świecie umieją oceniać wielkie talenty...

Culmer wreszcie opanował się.
- Panie Twardowski - rzekł - ja panu także pokażę pewne dokumenty.
Nacisnął dzwonek i wszedł Jakub.
- Poszukaj mi -rzekł do służącego - papiery, które wczoraj wieczór przeglądałem
Jakub otworzył szafę z aktami stojącą przy ścianie za plecami Twardowskiego, Culmer zaś zaczął:
- Musze przedtem opowiedzieć panu historię moich stosunków z pańskim stryjem. Jak panu wiadomo...
Twardowski był ogromnie zaciekawiony.
Culmer utkwiał w nim płonące oczy i zaczął od charakterystyki Alfreda Twardowskiego z czasów jego młodości. Mówił nawet ze swada...
Naraz coś Twardowskiemu mignęło z lewego boku. Odwrócił się i zobaczył Jakuba, uciekającego na palcach ku drzwiom z jego tekę w ręce.
- Słuchaj no!.. - zawołał.
Jakub nie słuchał i już brał za klamkę.
Twardowski, nie namyślając się, szybkim ruchem chwycił ciężkiego brązowego sfinksa stojącego na biurku, i puścił go w kierunku Jakuba.
Wszystko to stało się w ciągu paru sekund..
Służący padł na ziemię, wypuszczając tekę z reki. Twardowski skoczył, chwycił tekę i wtedy dopiero spojrzał na swoją ofiarę.
Jakub leżał nieprzytomny. Z głowy jego ponad uchem sączyła się krew przez włosy. Okiem medyka poznał, że służący jest tylko ogłuszony i że, zdaje się, tylko skóra jest przecięta a czaszka cała.
Podniósł oczy. Przed nim stał Culmer, na którego bladej twarzy strach i nienawiść walczyły o pierwszeństwo.
- Zamordowałeś pan człowieka - wysyczał.
- Niestety, nie - odparł spokojnie Twardowski. Byłoby o jednego łotra mniej. Niemniej przeto, panie Culmer, niech pan zatelefonuje po policje. Ja tu na nią poczekam.
Culmer stał bez ruchu w milczeniu.
- Nie? - zapytał Twardowski. - To może byłoby niedogodne, prawda?... W takim razie opuszczam pana. Daje panu dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Jeśli jutro do południa nie zakomunikuje mi pan zgody na moją propozycję, rozpoczynam kroki przeciw panu i pańskiemu synowi. A do miłego Jakuba niech pan lepiej wezwie zaraz lekarza. To nie pociągnie za sobą żadnego kłopotu: przewrócił się, uderzył o kant mebla... Taki zwykły wypadek. Krew niech pan zaraz zatamuje. Po co mają niepotrzebnie tracić?.. Niewiele ona warta, ale pan pewnie inaczej sadi. Do widzenia.

Rozdział XXV

Grzegorz, który upierał się towarzyszyć rano Twardowskiemu i czekał na niego przed domem Culmera, wciśnięty w kąt limuzyny, widział Jakuba, obserwującego z głębi bramy załogę samochodu i zrozumiał, o co mu chodziło.

Po powrocie do domu podzielił się z Twardowskim myślami:
- To szczęście, że pan ma w Warszawie swój samochód i że kazał nam pan czekać na siebie. Gdyby pan nie miał pod bokiem swoich ludzi i gdyby nie było świadków ni to, że pan wszedł do Culmera, może by pan z tego domu już nie wyszedł.

- Cóż ty myślisz - rzekł śmiejąc się Twardowski - że ja sobie dam tak łatwo krzywdę zrobić?

- Proszę pana, niech pan się nie śmieje. Nie pomoże największa siła i odwaga, gdy jest zasadzka. Ich było dwóch, a pewnie i więcej. Napadając podstępnie, znieścacka, we dwóch mogli by pana zamordować. Mnie się zdaje, że w jego położeniu nie ma wyboru: on musi się pozbyć pana...

- A skądże ty wiesz, w jakim on jest położeniu?

- Ja wczoraj słyszałem przypadkiem, jak pan rozmawiał z nim przez telefon.

- To ty słuchasz moich rozmów?

- Przepraszam pana, ja jestem uczciwym człowiekiem. Gdy pan rozmawia z kimś innym, z jakąś panią na przykład, odchodzę jak najdalej, żeby nie słyszeć. Ale Culmer to co innego. Jestem tu po to, żeby pana bronić od tego zbrodniarza i muszę wiedzieć co między nim a panem zachodzi. Gdy usłyszałem z drugiego pokoju, że pan wzywa Culmera do telefonu nie tylko nie wyszedłem, ale przyłożyłem ucho do dziurki od klucza.

Ta szczerość służącego i jego dobre zamiary rozbroiły Twardowskiego. Nie tylko nie zbeształ go za niedyskrecje, ale opowiedział mu całą sprawę kopalni złota i ograbiania Czarnkowskiego.

- No i widzi pan - rzekł Grzegorz. - Czy pan myśli, że taki łotr cofnie się przed największą zbrodnią?

- Gdyby nie był tchórzem.

- Proszę pana, i tchórzże umieją mordować: ze strachu, gdy są przyciśnięci do muru. Jak pan tylko wszedł do Culmera zaraz ten prześliczny Jakubek pokazał się w bramie i uważnie nam się przyglądał. Po co on to robił? Tam było coś na pana przygotowane.

- Nie może być. To byłoby bardzo nieostrożne, a on nie taki głupi.

- Tonący brzytwy się chwytą. Lepiej nie czekać, aż on głupstwo zrobi, i raz z nim skończyć.

Grzegorz w tej chwili miał wyraz twarzy, jak wtedy na cmentarzu, nad grobem pana Alfreda. Twardowskiego mróz przeszedł.

- Co chcesz powiedzieć? - zapytał.

Grzegorz nie powiedział ani słowa, tylko ręką wykonał ruch, jakby postrzelonej kuropatwie łeb ukręcał.

- Grzegorzu, Grzegorzu! - zawołał Twardowski. - Przecież my nie możemy być mordercami.

Grzegorz mu popatrzył w oczy. Twarz jego przybrała dziwny wyraz: coś jakby zawód, rozczarowanie; patrzył, jak człowiek, który zgubił drogę. Wreszcie jakby nowa myśl zaświtała w jego kanciastej głowie i zrodziła nowe postanowienie.

- Tak - odezwał się półgłosem, jakby dyskutując ze sobą - ale ja nie mogę dać pana zamordować.

- Będziemy się strzegli i poradzimy sobie - rzekł Twardowski. - Tymczasem temu łotrowi porządnie krwi upuścimy. Dla niego pieniądze to krew własna. Dałem mu dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

- Przez te dwadzieścia cztery godziny ja pana na chwile nie odstąpię. Oni będą czegoś próbowali.

Chcąc poprawić Grzegorzowi humor, Twardowski opowiedział mu historię teki z papierami i zranionej głowy Jakuba.

Rozweseliło to trochę pocziwego siłacza.

Jakie to szczęście - rzekł - że pan jest taki przytomny. Ale teraz mamy dowód, że ten Jakubek to współnik swego pana i taki sam jak on ptaszek.

Po chwili milczenia rzekł, jakby do siebie:

- Ciekawym, co oni dziś wymyśla...

Usiadł przy oknie sąsiedniego pokoju i ukryty za firanką obserwował ulicę. Koło czwartej zaraportował, że jakieś dwie podejrzane figury jedna za drugą co kilka minut przechodzą po drugiej stronie ulicy, najwidoczniej obserwując dom Twardowskiego. Ubłagał pana, żeby tego dnia mieszkania nie opuszczał, co zresztą było łatwe, bo ten nie miał na razie żadnych spraw na mieście, a do Czarnkowskich wolał nie chodzić, dopóki nie będzie miał dla nich czegoś określonego.

Koło szóstej zatelefonowała Wanda:

- Co u ciebie słyszeć? Nie wpadniesz do nas?

- Dziś nie - odpowiedział Zbigniew. - A u was nic nie zaszło?

- Culmer telefonował do tatka, ale usłyszał, że leży chory, do telefonu nie wstaje i nikogo nie przyjmuje. Zapewniał, że jego przyjmie: odpowiedzieliśmy, że taki jest wyraźny nakaz doktora.

Przez cały wieczór Grzegorz siedział w ciemnym pokoju i wyglądał na ulicę. Twierdził, że dwa podejrzane indywidua ciągle się kręcą.

Twardowski zjadł z apetytem obiad i cały wieczór wypełnił czytaniem.

O północy zadzwonił telefon. Twardowski, który jeszcze czytał, wziął słuchawkę i zapytał, kto mówi.

- Mówi doktor Kwiatkowski. Jestem u pana Czarnkowskiego, którego stan jest ciężki: może nie dożyć do rana. Pragnie pana widzieć. Czy może pan przyjechać i kiedy?

- Będę za kwadrans.

- Lepiej tak za godzinę. Chory chwilowo zasnął.

- Dobrze.

Grzegorz, który słyszał odpowiedzi pana, zapytał bez ceremonii, o co chodzi. Ten mu powtórzył rozmowę z doktorem.

- Czy pozwoli pan, że zadzwonię do mieszkania doktora Kwiatkowskiego?

- Po co?

- Tak, dla sprawdzenia. Nauczyłem się tego przy nieboszczyku panu.

Odszukał numer doktora i zadzwonił. Po długim czekaniu ktoś się odezwał.

- Czy jest pan doktor w domu?

Po krótkiej chwili położył słuchawkę i zwrócił się do pana:

- Doktor od godziny śpi nie kazał się budzić dla nikogo.

Zaśmiał się brzydko.

Twardowski pokręcił głową. Po chwili wziął słuchawkę i zadzwonił do Czarnkowskich.

W telefonie odezwał się głos Wandy.

- Jak się ma ojciec? - zapytał.

- Nieźle, udaje tylko chorego. Czemu o to pytasz?

- Czy nie wzywali doktora?

- Ależ nie. Mówię ci, że tatko zdrow i śpi już od dwóch godzin. Powiedz mi, co znaczą te pytania?

- Wiem, że nie mają sensu. Byłem trochę niespokojny. A ty, dziecko, dlaczego jeszcze nie spisz?

- Nie chce mi się. Jestem także trochę niespokojna.

- Z jakiego powodu?

- O ciebie. Wiem, że i to nie ma sensu, ale sensowność to rzecz twoja, a nie moja. Ja się rządę babskimi przecuciami. I dlatego proszę, pilnuj się, mój najdroższy.

Wymienili jeszcze parę zdań i powiedzieli sobie dobranoc.
Grzegorz wychylił się z sąsiedniego, ciemnego pokoju.
- Cóż, proszę pana, nie miałem racji, że oni będą czegoś próbowali? Tych dwóch już nie ma na ulicy. Widać przygotowują się do spotkania z panem...
Twardowski nie mógł zaprzeczyć.
- Trzeba iść spać - rzekł.
- Może pan spać spokojnie. Ja spać nie będę. Usiądę sobie z Piorunem tu w gabinecie, będę wyglądał na ulicę, a Piorun będzie słuchał czy nie dobiera się ktoś do drzwi frontowych. Od kuchni pilnuje Marek.
Twardowski się zaśmiał.
- Strzeżecie mnie, jak Mussoliniego.
- Lepiej być za ostrożnym, niż niedbałym.
Spał mocno do rana. Obudziwszy się, zadzwonił. Zjawił się Michał i zawiadomił go, że Grzegorz i szofer poszli spać o wpół do siódmej i kazali się obudzić, gdy będą potrzebni, lub gdyby pan miał z domu wychodzić.
Wykąpał się, ubrał, zjadł śniadanie i zabrał się do pracy.
O jedenastej zjawił się Grzegorz.
- Widać - rzekł - dugo w jakimś punkcie czekali na pana, myślę, że koło domu państwa Czarnkowskich, bo na naszej ulicy pokazali się dopiero po wpół do trzeciej. Zrobiliśmy im kawał. Myślałem, że spróbują dobrać się do naszego mieszkania, ale się nie odważyli. To tchórzze!...
Od Culmera nie było wiadomości.
Wreszcie o wpół do dwunastej rozległ się dzwonek telefonu. Twardowski usłyszał głos mecenasa:
- Chce się z panem widzieć. Czy może pan do mnie przyjechać?
- Nie. Czekam na pana u siebie - odpowiedział sucho Twardowski.
- Przed dwunastą będę.
Twardowski Grzegorzowi dał instrukcje, żeby się nie pokazywał. Musiał wszakże pozwolić na przebywanie w sąsiednim pokoju.
Culmer przyszedł. Targował się jeszcze. Próbował zmiękczyć Twardowskiego swym ciężkim położeniem. Ten wszakże był nieczuły jak kamień. Wreszcie wyjął zegarek i oświadczył mecenasowi, że ma jeszcze tylko pięć minut czasu.
Culmer zerwał się.
- A więc niech tak będzie, weźcie sobie ten majątek. Udławcie się nim!
- A to dlaczego?
- Na Zbychowiu przy jego obdłużeniu może się utrzymać tylko ten, kto ma pieniądze. Czarnkowski z niego prędko wyleci. Ja go nie będę miał, ale i wy nie będziecie mieli.
- Tu się pan myli. Spłacę długi Czarnkowskiego i sam wejdę na hipotekę.
Culmer stał jak piorunem rażony.
- Pan?
- Ja. Spadek po stryju, który prócz Turowa wynosi 6 milionów, pozwoli mi na to.
- Dlaczego pan kłamał? - zawołał mecenas szczerze oburzony.
- Niech pan się przyzwyczaję wyraża. Czy pan zasługuje na to, żeby panu prawdę mówić?...Zresztą, mniejsza o to. Wobec pańskiej zgody stawi się pan dla podpisania aktu u rejenta Konińskiego. Drugą stroną będzie reprezentował mecenas Osiecki, który ma na to pełnomocnictwo.
- Ja się osobiście nie stawię: przyśle także pełnomocnika.

- Wszystko jedno. Jest pan prawnikiem i nie mam potrzeby pana informować, co ma pan zrobić, żeby wszystko było należycie załatwione. Tylko proszę nie liczyć na żadną zwłokę. Ma pan czas dziś wszystko przygotować. Jutro punkt dwunasta w południe akt ma być podpisany. Uprzedzam pana, że skargę przeciw panu mam gotową i wniosę ją do sadu jutro przed pierwszą, jeżeli nie otrzymam zawiadomienia o podpisaniu aktu.

Culmer milcząc wstał.

Twardowski go zatrzymał gestem ręki.

- Jeszcze jedno - rzekł. - Nie chce, żeby było między nami nieporozumienie. Podpisanie tego aktu załatwi sprawę pana Czarnkowskiego, którą będę uważał za skończoną. Ale sprawa między nami, panie Kulmer pozostaje nie załatwiona. Walkę z panem i pańską bandą doprowadzę do końca.

- Zobaczmy! - wykrztusił chrapliwym głosem mecenas.

Po wyjściu Culmera Twardowski zawołał Grzegorza.

- Jutro o dwunastej - rzekł - akt będzie podpisany.

- O, to źle! - zawołał służący.

- Dlaczego?

- Mają jeszcze dwadzieścia cztery godziny czasu.

- Tyle zrobią, co dotychczas.

- Jeżeli będziemy się dobrze pilnowali.

Po południu zadzwoniła Wanda.

- A dziś nie przyjdiesz do nas?

- Przyjdę jutro, bo już będę miał z czym przyjść.

- A dziś co będziesz robił?

- Będę siedział w domu.

- To ja się zapraszam do ciebie na obiad. Jeżeli cię dziś nie zobaczę, będę bardzo niespokojna. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje...

Jeżeli Grzegorz ma słuszność, że dom jego jest strzeżony, to nie można dziś w nim przyjmować Wandy. Trzeba jednak z nią się zobaczyć.

- Dziś, kochanie, mój dom nie jest odpowiednim miejscem dla ciebie. Wobec tego wolę ja się zaprosić do was na obiad, jeżeli mnie przyjmiecie.

- Brawo! zapraszam ciebie w imieniu mamusi i tatka. Przyjdź wcześniej – będę na ciebie czekała.

Grzegorzowi nie podobał się ten obiad u państwa Czarnkowskich. Według niego pan nie powinien wychodzić z domu, dopóki Culmer aktu nie podpisze. Widząc jednak, iż rzecz jest postanowiona, zapowiedział, że będzie panu towarzyszył.

Gdy samochód zajechał przed dom Czarnkowskich, Grzegorz wyskoczył pierwszy, rozejrzał się wokoło, po czym panu drzwiczki otworzył. Twardowski chciał ich odprawić z tym, żeby przyjechali po niego o dziesiątej, ale Grzegorz zaoponował.

- Będziemy czekali. Może się coś zdarzyć, że pan będzie chciał wyjść wcześniej. Lepiej, żeby pan miał nas pod ręką każdej chwili.

W przedpokoju służący mu powiedział, że panienska czeka u siebie.

Gdy wszedł rzuciła mu się na szyję, witając go z taką radością, jakby się wieki nie widzieli. Była dziwnie nerwowa - trochę przybladła.

- Muszę widzieć ciebie - mówiła szybko - żeby być spokojną. Nic nie wiem, nic nie słyszę, a jednak mam poczucie, że w powietrzu wisi jakieś niebezpieczeństwo dla ciebie. Do głowy mojej jakby przychodziły jakieś depesze, które mnie przerażają. Powiesz, że to głupstwo, ale co ja poradzę?..

Tuliła się do niego, jakby chcąc z niego zaczerpnąć siły. Czuł lekkie drżenie jej ciała.

- Uspokój się, kochanie, nic mi nie grozi. Wszystko idzie jak najlepiej.
- A dlaczego wczoraj telefonował ni stad, ni zowąd o zdrowie tatka?
- Ktoś mi powiedział, że jest chory.
- Kto?
- Nie wiem kto. Mówił przez telefon.
- To dziwne.
Popatrzyła mu w oczy, jakby chcąc dowiedzieć się, czego nie dopowiedział.
- Nam tu także dokuczają telefonami. Nieznajomym tatko już kazał nie odpowiadać...
- To wszystko wkrótce się skończy.
- Przed chwilą telefonowała do mnie ta Brzozowska.
Twardowski się zaciekawił.
- Mówiła o jakiejś książce, którą jakoby chciała ode mnie pożyczyć. Ale zaraz zaczęła mówić o tobie. Pytała, czy to prawda, że przestaliśmy cię przyjmować. Oburzyła mnie. Powiedziałam jej, że dziś będziesz u nas na obiedzie. Może źle zrobiłam?
- Cóż może być w tym złego? Przeciwnie, dziękuje ci, żeś to powiedziała.
W duchu sobie jednak mówił, że to pewnie był wywiad mecenasa.
Obiad odbył się w atmosferze dość napiętej. Pomimo iż Twardowski zawiadomił pana domu, że jutro o dwunastej ma zostać z powrotem właścicielem Zbychowa, towarzystwo jakoś nie mogło się wypogodzić. Niepokój Wandy widocznie udzielał się jej rodzicom. Pani parę razy powtórzyła mu, żeby się strzegł nieprzyjaciół. Czarnkowski zaś siedział, jak podsądny, niepewny wyroku, który ma zapasć za chwilę.
Twardowski pożegnał się przed dziesiątą, obiecując się nazajutrz na śniadanie.
- Wszystko spokojnie, nic podejrzanego - zaraportował Grzegorz panu, wsiadającemu do samochodu.
Ruszyli z powrotem do domu.
Przed domem również Grzegorz nic nie zauważył. Brama była jeszcze otwarta; służący towarzyszył panu na górę.
Otworzył drzwi dwoma kluczami i weszli do przedpokoju. Naraz z głębi mieszkania z sypialni, rozległ się szczeł Pioruna, namiętny trochę piskliwy, jaki zawsze wydawał, gdy zobaczył kota na drzewie.
- Oho - szepnął Grzegorz i ruszył w kierunku psiego głosu, zapalając po drodze światło. Twardowski podążył za nim.
W sypialni zaświecona lampka przy łóżku ukazała im dziwaczny widok.
Na dywanie koło łóżka leżał na wznak mały, chudy człowieczek, a na nim siedział Piorun, opierając się przednimi łapami o ziemię po obu stronach jego głowy, z łbem zwieszonym nad jego twarzą. Obok tej pary stał na dywanie gramofon.
Na ten niezwykle widok Twardowski o mało nie parsknął śmiechem.
Na ich wejście Piorun zamerdzał ogonem i zwrócił ku nim mordę z triumfującym spojrzeniem. Leżący uniósł trochę głowę i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale pies natychmiast zwrócił łeb ku niemu i zębami chwycił go za gardło.
- Puszczaj, Piorun! - krzyknął Grzegorz.
Pies puścił gardło leżącego i podbiegł do pana.
- Wstawaj! - rzekł Grzegorz.
Leżący trochę się podniósł.
- A on?... - zapytał, niespokojnie wskazując na Pioruna.
- On ci już teraz nic nie zrobi.

Człowiek wstał z ogromnie niemądrą miną. Westchnął z ulgą. Był to mężczyzna młody, koło lat trzydziestu, wygolony, ubrany dość przyzwoicie, ale strasznie wychudzony, miał wygląd suchotniczy.

- Co ty tu robisz? - zapytał Grzegorz.

- Nie bój się pan, nic nie ukradłem. I krasce nie przyszedłem, owszem, przyniosłem prezent.

- Jaki prezent?

- Nie widzi pan?

Wskazał na gramofon. Był to aparat najmniejszego ze znanych rozmiarów.

- Jak tu wszedłeś?

- Jak się należy: przez drzwi frontowe.

- Kto ci otworzył?

- Ja tam nie potrzebuję nikogo fatygować. Sam sobie otwieram.

- Miałeś klucze?

Indagowany uśmiechnął się pogardliwie.

- Po co mi klucze? Dla mnie nie ma zamku ani zatrzasku.

- Oho! - rzekł Grzegorz - Toś ty ładny ptaszek.

- To zaczyna być interesujące - wtrącił Twardowski. - Przejdźmy do gabinetu.

- Siadaj pan - rzekł, widząc, że człowieczyna chwieje się na nogach.

Grzegorz spojrzał na niego z wyrzutem, że tak grzecznie traktuje nieproszonego gościa. Piorun ułożył się u nóg pana i, zadowolony z siebie, figlarnie patrzył na swoją ofiarę.

- Opowiedz no pan - zagaił Twardowski - co znaczy tą wizyta i ten gramofon.

- Widzę, że z całym przedsięwzięciem kłapa, więc nie ma rady: powiem wszystko, co wiem. Tylko muszę odsapnąć trochę, bo ta bestia mnie zmordowała. Co chce się ruszyć, to on mnie zębami za gardło...

Twardowski pogłaskał Pioruna, który patrzył mu w oczy, jakby mówił: "Dobrze się spisałem, co?"

- Długo pan tak leżał?

- Bo ja wiem. Mnie się zdawało, że sto lat. Przyszedłem tu o wpół do dziewiątej. - To tylko półtorej godziny.

-Tylko! Chciałbym, żeby mój najgorszy wróg tego spróbował.

Jasno, bez widocznego kręactwa opowiedział całą historię. Zeznał, że jest z zawodu ślusarzem, i to bardzo zdolnym, że nie mogąc ciężko pracować, wziął się do lżejszego zajęcia – został mieszkaniowym złodziejem. Ułatwiła mu to znajomość radzenia sobie z zamkami.

- Wzywano mnie często - mówił z uśmiechem - do otwierania trudnych zamków, później otwierałem bez zaproszenia.

I ten zawód zaczął mu się przykrzyć, zwłaszcza, że podupadał na zdrowiu. Toteż ucieszył się, gdy jeden z jego przyjaciół zapoznał go z pewnym panem, który powiedział, że ma dla niego łatwą robotę, która będzie dobrze zapłacona.

Tu przerwał i zawahał się.

- Cóż to za robota? - zapytał Twardowski.

- To pan jest pan Twardowski, prawda? - odpowiedział były ślusarz pytaniem.

- Tak.

-To, co mam mówić, dotyczy tylko pana.

Wskazał okiem na Grzegorza, jako na niepotrzebego.

- Proszę wszystko mówić do nas dwóch.

- Dobrze. Otóż ten pan mi powiedział, że pan Twardowski bałamuci mu żonę, która chodzi do niego na noc. Chcąc się zemścić na nich, kazał przygotować sobie

gramofonik z zegarowym przyrządem i nagadał dla nich płytę z okrutnym wymyślaniem. Zegarek nastawi się na nocną godzinę - chodzi tylko o to, żeby ktoś wstawił gramofonik pod pańskie łóżko. Ogromnie mi się ta zemsta podobała, bo to niezły figiel.

- Któż to jest ten pan? jak się nazywa?

- Kozieniecki.

Twardowski szeroko usta otworzył.

- Gdzie mieszka?

- Tego nie wiem, bośmy się spotkali u mego przyjaciela.

- A jak wygląda?

- Straszna małpa; mały, z dużym łbem, z gębą, która się może przyśnić. Nie dziwie się, że żona go zdradza. Dziś przypędził do mego przyjaciela z obandażowaną głową. Żona go zdradziła, gdy jej robił wymówki. Powiedział, że nie można dłużej zwlekać, bo pan jutro wyjeżdża na jakiś czas. I dziś dobry dzień, bo pana od ósmej nie będzie w domu, a na noc na pewno przyjdzie jego żona pożegnać się z panem.

Twardowski wymienił spojrzenie z Grzegorzem.

- Jakubek! - szepnął służący i wybiegli z pokoju.

Za chwilę wrócił z gramofonem. Przystawił go Twardowskiemu do ucha...

- Tik tak, tik tak - słychać było zegarek.

Odwrócił gramofon dnem do góry: dno było przymocowane nowymi śrubkami. Postawił gramofon na stoliku i znów zniknął. Wrócił niosąc skrzynkę z narzędziami. Usiadł na boku i zaczął odkręcać śrubki.

- Wszystko byłoby poszło dobrze - mówił dalej niedoszły wykonawca zemsty - Ale kiedy leżałem koło łóżka, chcąc wsunąć pod nie gramofon, coś skoczyło na mnie. Patrę - pies. Chciałem go rzucić, a on mnie zębami za gardło. Osłabiony padłem na wznak. Wtedy puścił moje gardło. Próbowalem się podnieść, znów mnie złapał za gardło. Po paru takich próbach zrozumiałem, że jeśli będę leżał spokojnie, to on mi nic nie zrobi. Przestałem więc się ruszać, a on sobie siedział na mnie. Nawet nie był zły, merdał ogonem, wywiesił ozór i patrzył mi w oczy tak, jakby się śmiał ze mnie. Ale niech go diabli wezmą! Pewnie mam dobre znaki na gardle...

Podniósł brodę. Po obu stronach grdyki widać było czerwone ślady kłów Pioruna.

Tymczasem Grzegorz zdjął denko i z otwartym gramofonem podszedł do Twardowskiego. Prawie całe wnętrze pudełka wypełniał gruby, żelazny cylinder.

- Bombka! - rzekł krótko.

Twardowski kazał mu podać skrzynkę z narzędziami, wziął z niej cążki i przeciął nimi jakiś drucik wewnątrz pudełka.

- Ostrożnie, panie! - zawołał Grzegorz.

- Bądź spokojny, ja się na tym trochę znam. Już teraz nieszkodliwa. To istotnie niezły figiel - wyjąć mechanizm gramofonu, a wstawić bombę. Jutro ja pošlemy do analizy i dowiemy się, czym naładowana. Ładny prezent nam pan przyniósł - zwrócił się do ślusarza.

Ten trząsał się jak liść.

- Panie, ja o tym nie wiedziałem. Jestem złodziejem. ale nie jestem mordercą. Nikogo w życiu nawet nie skaleczyłem!..

- Będiesz się tłumaczył na policji! - rzucił mu Grzegorz z dzikim spojrzeniem.

- Ileż on panu za to dał? - zapytał Twardowski.

- Tysiąc złotych: pięćset dostałem z góry, a pięćset miałem dostać jutro.

- To wcale tanio za taką robotę.

- Gdybym był wiedział za miliony bym tego nie zrobił.
Rozpląkał się jak dziecko, czyniąc sobie wyrzuty i strasznie przeklinając samego siebie.
Tymczasem Twardowski wyjął cylinder, odkręcił jego przykrywą i przyglądał się szaremu proszkowi, który go wypełniał.
- To wygląda na zwyczajny, pocziwy dynamit - mówił do siebie. - Efekt byłby niezły, gdyby to wybuchło...
- Niechże pan wezwie policję! - zawołał delikwent, dla którego dalsze przyglądanie się zawartości pudełka do gramofonu było widoczną męką.
- Wcale nie będę wżywał - odrzekł spokojnie Twardowski.
- Co pan chce ze mną zrobić?..
- Nic. Pójdiesz pan sobie wolno do domu.
- Puszczą go pan? - zawołał Grzegorz.
- On jest szczerzy - rzekł uśmiechając się Twardowski. - On nie wiedział, co przynosi. Ci zbrodniarze wywiedli go w pole...
Niedoszły morderca rzucił się przed Twardowskim do kolan, a gdy ten mu wyrwał ręce, zaczął mu nogi całować.
- Możesz pan iść - rzekł.
Wtem sobie coś przypomniał.
- Zaczekaj pan chwilę.
Usiadł przy biurku, wziął kartkę papieru i parę słów napisał.
- Masz pan tu adres. Pod tym adresem mieszka pan mecenas Henryk Culmer i jego służący, Jakub. Żaden z nich nie ma żony, więc nie miałem im co uwieść. To oni obaj przygotowali dla pana ten gramofon. Jakub układał się z panem, przybrawszy nazwisko Kozienieckiego. Może pan zechce z nimi pogadać...
Człowieczyzna chwycił łakomie kartkę całując rękę, którą mu Twardowski podał.
- Już ja z nimi pogadam!
- Byle nie jutro przed południem. Możesz pan zacząć składać im wizyty dopiero jutro po południu. Grzegorz wyprowadź go do bramy.
Wziął do reki słuchawkę telefonu i podał numer Czarnkowskich. Kazał poprosić pannę Wandę.
- Wandeczko, możesz dziś spać spokojnie. Już mi nic nie grozi. A wiesz komu to zawdzięczam?... Twojemu przyjacielowi, Piorunowi.
Pies, leżąc u jego nóg, usłyszawszy swoje imię, skoczy i upomniał się o podziękowanie.

Rozdział XXVI

Obudziwszy się po dobrze przespanej nocy, Twardowski zadzwonił. Wszedł Michał i zawiadomił go, że Grzegorz śpi. Poszedł spać rano, bo całą noc stróżował.

Ubrał się, wypił kawę, zabrał się do pracy. Ledwie usiadł przy biurku, gdy się odezwali telefon.

- Czy mieszkanie pana Twardowskiego? - zapytał głos nieznany.
- Tak.
- Czy jest pan w domu?
- Jestem przy telefonie.

- Ach, to pan... Przepraszam... Chciałem...

- Czy może w sprawie gramofonu? - zapytał Twardowski.
Rozmowę z tamtego końca przerwano.

- Poczciwy mecenas - rzekł do siebie Twardowski. - Nie znalazłszy w rannych gazetach sensacyjnej wiadomości o tajemniczym wybuchu przy ulicy Pięknej, dowiaduje się o moje zdrowie. Wiesz, Piorunie - zwrócił się do psa, leżącego na dywanie, żeś mu zrobił brzydki kawał.

Pies podszedł do niego z wesołą miną i udawał, że rozumie.

- Będzie musiał stanąć u rejenta i krwi sobie upuścić. A wyobrażam sobie jego minę, gdy po południu zobaczy tego majstra od zamków z wizytą.

Piorun, uważnie wysłuchawszy przemowy pana, pogłaskany przez niego, a zadowolony z siebie, położył się z powrotem. Widocznie, na równi z Grzegorzem, czuwał przez całą noc i potrzebował odpoczynku.

Za chwilę znów się odezwał telefon. Tym razem głos był aż nadto dobrze znajomy. Mówiła Wandeczka.

- Wiesz, że ty jesteś cudotwórca. Wczoraj po twoim telefonie poszłam spać, natychmiast zasnąłam i obudziłam się dopiero przed chwilą. I strasznie wesoło mi na duszy. Będziesz na śniadaniu, prawda? A nie będziesz się śpieszył?.. bo mam z tobą dużo do mówienia.

Potem już nikt mu nie przeszkadzał.

Kolo południa zjawił się Grzegorz z pytaniem o rozkazy. Miał minę ponurą.

- Co ci jest. Grzegorzu? - zapytał Twardowski.

- Nic, proszę pana.

- Wyglądasz, jakbyś siedem wsi spalił.

- Pan myśli, że to przyjemnie patrzeć na to, co się dzieje. Polują na pana jak na zwierzynę. .

- Ale nie upolowali. Poczciwy Piorun dobrze się znalazł.

- Mówilem panu, że on się przyda. A tego złodzieja to pan puścił.

- On się też przyda. Będzie uprzyjemniał czas Kulmerowi.

- To prawda. Strasznie się odgrażał, gdy go wyprowadzałem przez bramę.

Mnie się zdaje, że on wyciągnie z nich sporo pieniędzy.

- Życzę mu powodzenia. Lepiej, żeby to robił, niż żeby okradał mieszkania. Pierwszy raz w życiu popieram szantaż. A szkoda ich - to zdolni ludzie. Ta historia z uwiedzioną żoną i z zemstą przez gramofon mogłaby figurować w najnowszej farsie. Nie podejrzewałem Kulmera o taka fantazje. A może to Jakubek taki utalentowany.

- Ależ skąd, proszę pana, Jakubkowi przyszło do głowy przybrać nazwisko pana Kozienieckiego?

- To jest także załatwienie rachunków.

Stojący przy ścianie naprzeciw biurka zegar empirowy wybił godzinę dwunastą.

- Teraz zaczyna się tragedia - rzekł, śmiejąc się szyderczo, Twardowski.

Zarządził, żeby samochód zajechał przed pierwszą, a sam czekał na wiadomość od Osieckiego.

Zbliżała się pierwsza, a wiadomości nie było.

Zaczął się już niecierpliwić. Wreszcie rozległ się dzwonek u drzwi, i wpadł zdyszany Osiecki.

- Wszystko załatwione! - zawołał triumfująco. - Pan Czarnkowski znowu figuruje w hipotece jako właściciel Zbychowa.

- Kto stawał z ramienia Kulmera?
- On sam stanął. Widać rozmyślił się, wołał nie powiększać sobie kosztów. Ależ, panie, jaka to ruina! Gdzie się podział ten wielki, pyszny Kulmer! *Quantum mutatus...* A jakie żydzisko z niego wylazło!

Twardowski podziwiał poetycki wybuch w spokojnym zazwyczaj Osieckim. Ten wszakże natychmiast wrócił do swej roli.

- Koszty poniosłem zgodnie z danym mi przez pana poleceniem ze złożonej u mnie gotówki. Wynoszą one..

- Pomówimy o tym później. Teraz się śpieszę - spóźniłem się na śniadanie.

Osiecki pożegnał się i wyszedł z mina człowieka, który miał jedną z największych przyjemności w swoim życiu.

U Czarnkowskich czekali niecierpliwie. Jeszcze nie byli pewni, że sprawa dobrze się skończy, że stanie się ten cud, jak mówili. Tylko Wanda nie miała żadnych wątpliwości.

- Będzie tak, jak on powiedział - mówiła spokojnie do ojca.

Wszedł Twardowski, przepaszając za spóźnienie.

- Wszystko dobrze - rzekł do Czarnkowskiego.

- Jak to dobrze?

- Pół godziny temu wrócił pan do księgi hipotecznej Zbychowa jako jego właściciel. Kulmer sam stanął u rejenta i akt podpisać.

Czarnkowski zachwiał się na nogach, padł na fotel.

- Co?... jak?... jak to się stało?..

- Odsprzedał panu Zbychów, nie dostawszy ani grosza.

Zapanowała cisza. Czarnkowski siedział w fotelu i plakał.

- Chodźmy jeść! - zawołała Wanda wesóło.

Pomogła matce się podnieść i poprowadziła ją do jadalni. Tam czekały kilka minut, bo Czarnkowski potrzebował sporo czasu na przyjęcie do siebie i na wyrażenie wdzięczności przyszłemu zięciowi. Gdy wchodzili, pani Czarnkowska utkwiała oczy pełne zachwyty w Twardowskiego i rzekła:

- Bóg jest miłosierny! On się nami opiekuje, on nam pana przysłał.

Wanda się dziwiła, dlaczego matka nie powiedziała zesała. Ale Twardowski się nie dziwił: wiedział, że „on” to Alfred.

Czarnkowski ciągle był oszołomiony. Powtórzył parę razy, że nie może sobie wyobrazić, jakich sposobów Twardowski użył dla odebrania jego majątku. Musiał mu Twardowski wyłożyć cały przebieg sprawy od początku, od owej rozmowy, podsłuchanej w wagonie. Zrobił to krótko, bez wdawania się w szczegóły. Gdy skończył, Czarnkowski rzekł:

- A jednak nie każdy by tak oddał majątek, kupiony całkiem legalnie. To wszystko były machinacje jego wyrodnego synka. On sam przecież odradzał mi sprzedawanie Zbychowa, a gdy się o wszystkim dowiedział, nie wahał się ponieść olbrzymiej straty i łatwo pozbyć się majątku.

W oczach Twardowskiego gniew błysnął. Wanda patrzyła na niego przerażona, była pewna, że ojciec usłyszy coś bardzo przykrego. Istotnie, gdyby Czarnkowski nie był ojcem Wandy, na pewno byliby się dowiedział w jakiejkolwiek formie, że jest nieuleczalnym durniem. Twardowski zrozumiał obawę dziewczyny, więc rzekł z uśmiechem:

- Pan myśli, że on łatwo pozbył się majątku. Tu się pan myli.

Uwziął się wyleczyć ojca Wandy z respektu dla zacnego mecenasa. Wbrew wtedy pierwotnemu zamiarowi opowiedział, jak uratował porwana przez Jakuba tekę,

jak Grzegorz wyjaśnił telefon nocny od rzekomego doktora Kwiatkowskiego, jak wreszcie Piorun udaremnił umieszczenie pod jego łóżkiem złośliwego gramofonu. Wszyscy troje słuchali z otwartymi ustami. Zgroza malowała się na ich obliczach.

- Nic o tym nie wiedzieliśmy - rzekł głupio Czarnkowski.

- Ja wiedziałam - zawołała Wanda.

Spojrzeli na nią w osłupieniu.

- Nie wiedziałam, co się dzieje, ale wiedziałam, że życie jego jest w niebezpieczeństwie. Przez te parę dni nie mogłam sobie dać rady z sobą. Uczulam się bezradną; co chwila chciałam biec do niego. Nie macie pojęcia, jakie to straszne. Mówią, że nie istnieją przecucia...

Twardowski słuchał z wdzięcznością, a jednocześnie z obiektywnym, naukowym zainteresowaniem.

- Ja bym tego nie nazwał przecuciem; to było coś innego.

- Wiec cóż?

- W tej chwili trudno byłoby to wytłumaczyć.

Czarnkowski wygłosił swoją refleksję, będącą zarazem apologią:

- I jak człowiek uczciwy może się obracać w świecie, w którym dzieją się takie rzeczy! Któż może podejrzewać, że za takimi szlachetnymi pozorami kryją się takie zbrodnie!..

- Otóż to właśnie! – zawołał Twardowski. - Dotknął pan rzeczy najważniejszej. Widzicie tylko małe, pospolite kłamstwa i tylko prostackie, niezaradne zbrodnie. Wielkie fałszywe i najnikczemniejsze zbrodnie ukrywają się przed waszymi oczami. I to się dzieje we wszystkich cywilizowanych krajach. A wie pan dlaczego?. Bo nasza cywilizacja od czasów greckich wychowuje w nas kult prawdy i pogardę dla kłamstwa. Nie oduczyła ona nas kłamać. ale kłamiemy niezdarnie. Gdy wchodzą między nas ludzie innej cywilizacji, która nie ma tego szacunku dla prawdy, my ich nie jesteśmy zdolni przejrzeć do głębi. Dlatego to Żydom tak się powodzi. Ich cywilizacja podniosła kłamstwo do godności wielkiej sztuki, powiedziałbym nawet - cnoty. Oni kłamią na taką skalę, że Polak, Francuz, Anglik czy inny, niezdolny jest nawet przypuścić, żeby można było tak kłamać. I dlatego łapiemy ich na najmniejszych, mniej ważnych fałszach, ale tam, gdzie się dopuszczają największych, naiwnie im wierzymy. Żaden, najzdolniejszy w łotrostwie Polak, gdyby nawet największe robił wysiłki. nie umiałby tak, jak Kulmer, kłamać przez całe swoje życie, każdego tonu wychodzącego z ust swych słowa, każdego gestu swej ręki. Cynizm wyłaziłby z niego na każdym kroku. Toteż, sądząc po sobie, nie możemy uwierzyć, ażeby to wszystko było kłamstwem. Dlatego Kulmer, będąc najnikczemniejszym łotrem, jest uważany za najszanowniejszego męża i pracując konsekwentnie na zgubę Polski, jest podawany za wzór patriotyzmu.

Czarnkowski słuchał z wytrzeszczonymi oczyma i niewiele rozumiał.

- Pan jako uczoney... - zaczął.

- Nie jestem uczoney - przerwał mu Twardowski. - Nauka. która się chełpi odwaga w poszukiwaniu prawdy, boi się dotychczas uczynić przedmiotem swych badań tego. co ja studiuję. A ja prowadzę studia nad kłamstwem, które nas, całą naszą cywilizację zniszczy, jeżeli go nie poznamy i nie nauczymy się go tępić.

Czarnkowski jeszcze mniej rozumiał.

Gdy wstawali od slotu; rzekł:

- Musze iść odpocząć: czuje się całkiem wyczerpany. Pan mnie przekonał, że Culmer nie jest tym szlachetnym człowiekiem.za którego go miałem. Nie uwierzy pan. jak mnie to zmartwiło.

Twardowski się roześmiał.

- Kulmer zapytałby pana czy pan nie ma większego zmartwienia?..
I tego Czarnkowski nie zrozumiał.
Poszedł do swego pokoju, a Twardowski wypił czarną kawę z paniami.
-Pani mi zrobiła nadzieje - rzekł do Czarnkowskiej - że odwiedzi kiedyś Turów.
Teraz właśnie na początku wiosny Turów jest naprawdę ładny.
Wanda zaczęła kląskać w ręce jak uradowane dziecko.
-Mamusiu, pojedziemy, dobrze? Tak bym chciała zobaczyć Turów!
- Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby pani zechciała wypocząć w Turowie po tych niemiłych ostatnich tygodniach. Za parę dni dom mój będzie gotów na przyjęcie państwa.
Mówił „państwa”, ale miał nadzieje, że Czarnkowski nie pojedzie. Był uszczęśliwiony, że Wanda przyjęła projekt z takim zapałem.
Pani próbowała się uśmiechnąć, ale jakoś nie mogła.
- Dziękuję panu - rzekła z niezwykłą powagą. - Bardzo pragnę być w Turowie i zaproszenie przyjmuję całym sercem w imieniu swoim i Wandeczki. Mam nadzieje, że za jakiś tydzień będziemy mogły pojechać.
Widaw było, że o mężu nie myślała.
Zobowiązał się przyjść wieczorem na obiad celem ułożenia całego planu wspólnie z panem Czarnkowskim.
Gdy się zaczął żegnać, Wanda zawołała:
- Co, już uciekasz? A mieliśmy pogadać.
- Nie chce pań męczyć dłużej i sam nie jedno mam jeszcze do załatwienia przed wieczorem.
Spojrzał na zegarek.
- Mam jeszcze pół godziny czasu.
- To ja was tu zostawię, gadajcie sobie - rzekła pani Czarnkowska. – Jestem naprawdę bardzo zmęczona.
Gdy zostali sami Wanda posadziła Twardowskiego.
- Słuchaj - rzekła - to zaproszenie nas do Turowa jest genialne. Tam będziemy ciągle razem i może nareszcie znajdę odpowiedz na moje pytanie.
- Na jakie pytanie?
- Kto ty jesteś? Jesteśmy narzeczeni, a ja ciebie doprawdy nie znam.
- Masz słuszność: oświadczyłem ci się za wcześnie. Ale to twoja wina: po co się tak upierałaś w sprawie tych pieniędzy? Widzisz, że miałem słuszność, że majątek do was wróci..
- Nie o to chodzi, czy za wcześnie, czy za późno. Ja już dawno wiem, że muszę zostać twoją żoną: bez ciebie już żyć bym nie umiała. Tylko to jest nienormalne, żeby żoną tak mało znała swego męża. Imponujesz mi, zachwygam się tobą i boję się ciebie. Wszystkich mężczyzn, którzy mnie otaczają, zaczynając od tatka a kończąc na Kozienieckim, znam na wylot, a w tobie jest jakby jakieś miejsce zamknięte, w którym coś siedzi, czego ja się nawet domyślić nie mogę. Chciałabym to miejsce otworzyć i boję się... Czy ja kiedyś tam zajrzę?..
Twardowski słuchał i nic nie odpowiadał.
- Nie myl, że to są kłopoty naiwnej panienki, która nie wie, co to znaczy wyjść za małż. Takich panienek nie ma. My, młode dziewczyny, wiemy dziś wiece, niż nasze matki. Tu nie o to chodzi, tu chodzi o ciebie. Ty jesteś jakiś inny niż wszyscy mężczyźni.
- Wszyscy, których ty znasz, kochanie.

- Może i tak, nie wiem. Ale ja nawet nie wiem, dlaczego ty chciałeś ze mną się ożenić. Jestem niebrzydka, to nawet wiem, że jestem wyjątkowo dobrze zbudowana, a to się mężczyznom podoba. Ale takich pewnie spotkałeś wiele. Zresztą, zdaje mi się, że tobie nie wystarczy, żeby się związać z kobietą na całe życie. Do romansiku owszem...- dodała tonem doświadczonej kobiety, która zjadła zęby na przejściach z mężczyznami.

Twardowskiego ten jej ton raził, ale zarazem bawił.

- Powiesz mi, czy nie, dlaczego postanowiłeś ze mną się ożenić? Przecież i ty mnie naprawdę nie znasz...

- Kochanie – odrzekł Twardowski - znam cię o wiele więcej, niż myślisz, może nawet więcej, niż i ty znasz siebie. I dlatego, że cię znam, powiedziałem sobie, że musisz być moją żoną.

- Wiec powiedz mi przynajmniej, co o mnie myślisz.

- Powiem. Teraz jednak muszę już iść. Czekają na mnie.

-To dziś wieczór nie wypuszczę cię, dopóki mi nie powiesz.

Wieczorem przy obiedzie Czarnkowski zakomunikował swe postanowienie:

- Zwijam mieszkanie w Warszawie i przenoszę się do Zbychowa. Trzeba zająć się gospodarstwem. W dzisiejszych ciężkich czasach nie można bawić się w pana.

W oczach pani Czarnkowskiej przemknęła jakby obawa o los Zbychowa, jeżeli pociąg do interesów zamieni się u męża w zapał do gospodarstwa.

Projekt wyjazdu do Turowa przyjął apatycznie.

- Jedźcie we dwie - rzekł. - Ja jutro muszę być w Zbychowie i tam dłuższy czas pozostać. Pańskie oko konia tuczy. Nie tylko chciał popatrzeć na odzyskany majątek, ale także zniknąć jak najrychlej z Warszawy, znaleźć się jak najdalej od Culmera i od znajomych, którzy by go ciekawie wypytywali o to, co zaszło.

Umówiono się, że panie za tydzień zjadą do siedziby Twardowskiego.

Wkrótce po obiedzie Wanda zręcznie wyprawiła oboje rodziców na wczesny wypoczynek, a sama zabrała narzeczonego do siebie.

- Obawiam się - rzekła - o zdrowie tatka. Strasznie się zmienił. Te przejścia go zgnębiły. Dopiero, gdy poznałam ciebie, zrozumiałam, jakim on zawsze był słabym człowiekiem. Widziałam, jak się gniewałeś, kiedy bronił Culmera. A wiesz, dlaczego on to robił? Bo dla niego to za ciężki cios tak się na kimś zawieść. Przez całe życie prawie we wszystkim polegał na Culmerze i na jego zdaniu, a teraz stracił to oparcie. Ach, żeby on się oparł na tobie! Bo on biedny sam stać nie może... I mamusia bardzo się zmieniła... Ale to już od dłuższego czasu, chyba od poznania ciebie. Zrobiła się obojętniejsza i dla tatka i dla mnie. Zawsze jest dobra, ale ciągle chodzi zamyślona. Mam wrażenie, że dowiedziała się czegoś szalenie ważnego, i to od ciebie. Coś ty jej mógł powiedzieć?... No, ale teraz wszystko będzie dobrze, prawda? Kiedy usłyszałam od ciebie przez telefon, że już ci nic nie grozi, jestem spokojna i wesoło mi na duszy. Tylko musisz mi raz nareszcie powiedzieć, co o mnie myślisz.

- A nie będziesz się gniewała?

- Bądź spokojny. - Tyle się nawściekałam na ciebie, że mi się to już sprzykrzyło.

- Wiec dobrze;. Przede wszystkim ci powiem, że jesteś czarującą dziewczyną.

- Oho! kiedy tak zaczynasz, to na pewno masz zamiar coś bardzo brzydkiego mi powiedzieć. Mniejsza o to. Kiedy to zauważyłeś?

- Od pierwszego spojrzenia.

- I dlatego tak mi dokuczałeś?

- Pewnie, że dlatego.

- Dziwny sposób wyrażania zachwyty.

- Gdybym nie był pod wrażeniem twego czaru, nie zwracałbym na ciebie uwagi. Od pierwszej chwili zaczęłaś mnie mocno obchodzić i dlatego gniewały mnie w tobie pewne rzeczy, o których ci już mówiłem.

- Niech będzie i tak. A co dalej?

- Dalej ci powiem, że masz charakter i jesteś osoba, na której można polegać.

- Ślicznie. Sama to o sobie myślałam. Ale bardzo mi przyjemnie słyszeć to od ciebie.

- Jesteś dobra bez cikliwości i szlachetna bez pozy. To są wielkie cnoty.

- To ładnie powiedziane. Nie umiałabym tak.

- Jesteś inteligentna. Tylko twoja żywą inteligencję kobiecą wpływy środowiska zaczęły manierować, wprowadzać na drogę naśladowania umysłowości męskiej. Na szczęście cofasz się z tej drogi.

- Pod twoim wpływem. Po pierwsze, zrozumiałam, że to głupie, po wtóre, chce ci się podobać. Wszystko, co dotąd powiedziałeś jest przyjemne. Kiedy zaczną się te rzeczy przykre?..

- Właśnie teraz ci powiem rzecz najprzykrzejsza.

- Mów, jestem przygotowana.

- Czy lubisz Żydów?

- Nie, mam wstręt do nich.

- A gdybym ci powiedział, że w pewnym względzie jesteś przez nich wychowana...

- Odpowiedziałabym ci, że się mylisz. Ja ich przecież nie spotykam.

- A Kulmer? a pani Brzozowska? Zresztą wystarczy, że naśladujesz tych, co naśladują Żydów i tym sposobem ulegasz pośrednio ich wpływowi. Ten wpływ czuje się dziś wszędzie.

- W czym go widzisz?

- W tym, z czego wy, młode kobiety, jesteście bardzo dumne. Jak to dziś rano powiedziałaś? My nie jesteśmy naiwne panienki, wiemy więcej niż nasze matki. Mogę dalej mówić?

- Mów.

- Ja nie tęsknię za dawnymi panienkami z ich szczerą czy udawaną naiwnością. Młoda dziewczyna może dużo wiedzieć. i to jej nie zaszkodzi. nawet pomoże w życiu. Ale dziś panuje moda nakazująca młodym dziewczynom głużyć w sobie wstyd kobiecy. mówić głośno o tym, o czym się nic mówiło, pokazywać to, czego się nie pokazywało.. A wstyd kobiecy to wielka zdobycz naszej cywilizacji, tak samo, jak poczucie honoru u mężczyzn. Tego nie znają Żydzi; oni są niehonorowi i ich kobiety bezwstydne. I to jest ich wielkie zwycięstwo, że dziś pod ich wpływem u nas jedno i drugie zanika.

- Więc ja jestem bezwstydna? - zapytała dziewczyna tonem, w którym nie było urazy, ale jakby obawa, czy Twardowski nie ma czasem słuszności.

- Nie. Tylko i ty ulegasz modzie i starasz się w sobie wstyd zagłuszyć. Przyznaj, że czasem wyrzucasz sobie nieśmiałość w tym względzie.

Dziewczyna zamyśliła się.

- Prawda. Jak ty wszystko widzisz!... Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to Żydówki są naprawdę bezwstydne. A przecież ta Brzozowska. Jakie to prawdziwe! Ale, powiedz, jeżeli tak patrzysz na to, dlaczego nie masz wstrętu do mnie?

- Raz myśląc o tobie, powiedziałem sobie, że gdybyś nawet była naprawdę złą, Jakaś siła, niezależna od wszelkiego rozumowania, kazałaby mi cię kochać.

Po raz pierwszy padł z jego ust ten wyraz. Spostrzegł to i zamilkł.

Dziewczyna utkwili w nim błyszczące oczy.

- To ty naprawdę mnie kochasz! Boże, jaka ja jestem szczęśliwa!
Nie próbował zapanować nad sobą. Otoczył ją ramieniem, przycisnął do piersi i usta do jej ust przycisnął...

Odsunął się od niej i znów zaczął mówić spokojnie:

- Można kochać kobietę i nie myśleć o pojęciu jej za żonę. Ja nie jestem młodym chłopaczkiem, działającym bez zastanowienia. Pomimo, że ciągnie mnie do ciebie z nieprzepartą siłą, że jesteś jedyną w moim życiu kobietą, która mnie do siebie przykuwa, nie myślałem o tobie jako o mej przyszłej żonie. Dopiero...

- Dopiero?

- Pamiętasz tę naszą rozmowę, te chwile, kiedy się wzięliśmy za ręce i w milczeniu patrzyli sobie w oczy?.. .

Dziewczyna się zarumieniła i potwierdziła tylko skinieniem głowy.

- Wyrwałaś swe ręce z moich.

- Jakiś lęk mnie ogarnął.

- A ja natychmiast wyszedłem.

- Tak.

- A wiesz dlaczego?. Bo w tobie odezwał się wstyd kobiety, a we mnie honor mężczyzny - dwie wielkie instytucje naszej cywilizacji. W chwili potem powiedziałem sobie: Ta kobieta musi być moją żoną.

Zapanowało milczenie. Przerwała je Wanda:

- Teraz już wiem wszystko, czego dziś chciałam się od ciebie dowiedzieć. Idź już, mój najdroższy. A ja będę myślała o tym wszystkim, co mi powiedziałeś.

Pożegnała go krótkim jakby małżeńskim pocałunkiem.

Źródło: [www.endecja .pl](http://www.endecja.pl)